

WŁADYSŁAW ZDANOWICZ

MISJONARZ Z BYWANOWA

SZEREGOWY LEŃCZYK W IRAKU



CZESC III
DONKEY



KSIĘGARNIA
ZDANOWICZ

Władysław Zdanowicz

**Misjonarze
z Dywanowa
czyli
szeregowy Leńczyk na misji w Iraku**

Stronic kilka z dziejów plutonu rotacyjno-dyspozycyjnego, z ogólnym zastrzeżeniem, że wszystkie opisane tu osoby oraz wydarzenia miały tak naprawdę niewiele wspólnego z rzeczywistością. Ta była o wiele, wiele gorsza.

ISBN 978-83-925232-3-9

© Copyright by Władysław Zdanowicz

**Tom trzeci
Donkey**

Rozdział pierwszy.

Plutonowy Zalewski, po powrocie z Camp Juliet został wezwany przed oblicze kapitana Kwidzyńskiego, który wydał mu rozkaz wzięcia udziału w kolejnym patrolu sprawdzającym bezpieczeństwo miejscowości położonych na zachód od Camp Echo. Cieszył się z otrzymania nowego zadania, bo w ten sposób nie miał czasu aby roztrząsać tego, co się wydarzyło w Camp Juliet. Z jednej strony był zadowolony, że jego kumpel Rover przeżył chwilę szczęścia, ale z drugiej był więcej niż pewny, że znajomość z panią porucznik Malyszewsky nie będzie dla niego szczęśliwa i przede wszystkim... bezpieczna. Przed wyjazdem, skorzystał jeszcze z okazji, aby wpaść do DiFAC-u. Od dawna znał, podstawową zasadę żołnierską mówiącą, że jeść należy zawsze wtedy kiedy jest do tego okazja, a zdawał sobie sprawę, że nie ma co liczyć na to, że stołówka będzie jeszcze czynna, gdy wrócą do bazy. Codziennosc przekonywała go do starej żołnierskiej maksymy: jeść, spać i... wydalać, w każdej możliwej chwili, bo nigdy nie wiadomo kiedy trafi się następna ku temu okazja.

Pracownik interesującego go działu firmy KBR, sądząc po jego wyglądzie – filipińskiej narodowości – raczej nie należał do tych, którzy mogli się pochwalić znajomością języków obcych. W każdym razie wyglądał na takiego, który chwilę wcześniej został oderwany od zmywaka będącego całym jego światem, gdzie w miarę poprawnie wykonywał swoje zadania. Zapewne, z tego powodu, że nikt tam od niego nie wymagał innej aktywności poza szorowaniem brudnych naczyń. Teraz postawiony niespodziewanie za ladą nie był w stanie zrozumieć, czego od niego chce stojący po drugiej stronie klient, co powodowało u niego narastający stres. Nie pomógł nawet fakt, że plutonowy Zalew po fiasku nawiązania rozmowy w języku angielskim próbował tego samego w języku niemieckim i rosyjskim, ale z tym samym negatywnym skutkiem. Za każdym razem widział przerażone oczy i przeczący ruch głowy oraz wyuczony bez sensu tekst po angielsku:

– I'm sorry. I don't understand, speak slowly, please... – po, którym następowало rozpaczliwe spojrzenie Filipijczyka w bok, jakby spodziewał się, że zaraz pojawi się obok niego jeden z jego kolegów i wyratuje go z opresji.

Ponieważ plutonowy Zalew nie miał zbyt dużo czasu do wyjazdu, postanowił załatwić sprawę po żołniersku, czyli wskazać palcem w konkretny garnek z odpowiednim komentarzem:

– To, kurwa, chcę! Dwie łyżki tego! – podniósł ku górze dwa palce, by wszystko było jasne. – Dwie powiedziałem, to po jaką cholere gmeras tam dalej! Starczy! I to, kozi synu!... I to też do jasnej cholery!... A z tym żółtym gównem won! Jak chcesz to sam, to wpierdalaj, bo tylko zrzygać się można, od samego patrzenia... Powiedziałem, stop! Czy trudno to zrozumieć?!

W ten sposób dostał ryż z kawałkami smażonego kurczaka i dodatkowe podwójne warzywa, ale bez polewy z curry, którą Filipijczyk każdemu dodawał nie patrząc czy ktoś z klientów sobie jej życzy. Zalew nie dał mu tej satysfakcji i kazał sobie podać nowy zestaw bez cholernej curry. Jadł zastanawiając się, jakim cudem – i przede wszystkim, gdzie – firma KBR potrafiła znaleźć takich wybitnych pracowników i dlaczego przed ich zatrudnieniem nie przechodzą testu na inteligencję, aby później nie wyglądali jak ludzkie korpusy nie mające kontaktu z własnym mózgiem.

Leńczyk był w zupełnie innym nastroju niż jego kolega, bo tak naprawdę cały czas czuł smak pocałunku pani porucznik i nawet nie pomyślał o pójściu do DiFAC-u. Ba, o niczym innym nie myślał jak tylko o tym, że podczas wyjazdu zaszło coś znaczącego i w związku z tym musi teraz zmienić swoje podejście do życia.

– Dość żarcia bez ograniczeń, błazenady i wpadania w kolejne kłopoty, przez co psuję sobie opinię u swoich przełożonych – obiecał sobie w duchu. – Muszę się zmienić.

Postanowił być wzorem dla innych, wykonywać błyskawicznie, bez głupich pytań polecenia wszystkich przełożonych, bez względu na ich stopień wojskowy i w ten sposób zasłużyć na szacunek kolegów i dzięki temu, coś zmienić w swoim życiu. Był tak podekscytowany, że tak piękna kobieta, jak porucznik Malyszewsky sama z siebie go pocałowała, że przez cały dzień chodził pobudzony i nie odczuwał potrzeby snu. Wystarczyło, że przypomniał sobie jej uśmiech, kolor oczu i zapach, aby od razu stawało mu się rażniej na duchu. Wiedział, że nie ma sensu kłaść się, bo i tak nie będzie w stanie zasnąć. W związku z powyższym, sam z siebie, bez niczyich ponagień wysprzątał cały kontener zajmowany z kolegami. Było to tak niezwykle wydarzenie, że nie obeszło się bez delikatnego dopytywania się z ich strony, z jakiego to powodu jest taki chętny do pomocy. Uśmiechał się tylko tajemniczo, kręcił głową i głośno wzdychał, po czym podejmował od nowa wykonywaną pracę, odmawiając wszelkich komentarzy. Wszyscy widzieli, że coś jest nie tak, ale, skoro sam nic nie mówił, nikt go nie ciągnął za język, tym bardziej, że każdy był zajęty przygotowaniem do nowego zadania.

Tym razem wyjazd na blokadę mostu został odpowiednio przygotowany. Przede wszystkim przydzielono im wzmocnioną drużynę moździerzy, która obejmowała nie tylko trzy moździerze kalibru dziewięćdziesiąt osiem, ale także dodatkowo dwóch obserwatorów z pełną obsługą. Mieli dokładnie zlokalizować miejsce, z którego prowadzono do nich ogień. Jakby tego było mało, dołączył do nich także swoim samochodem patrol EOD, który miał sprawdzić teren przy kładce prowadzącej przez kanał. W przypadku ponownego ataku moździerzowego obiecano im lotnicze wsparcie i obserwację najbliższego terenu. Czuli się, jak mała armia, mająca do wykonania bardzo ważne zadanie, choć kapitan Młodszy oraz obaj sierżanci nie byli z tego powodu zachwyceni. Zgodnie twierdzili, że taka ilość dodatkowych żołnierzy i sprzętu, bardziej będzie sobie przeszkadzać niż pomagać, a poza tym od razu rzuciło w oczy, że tym razem jadą wzmocnieni i przygotowani na atak. W takiej sytuacji,

jeśli – jak podejrzewali – wśród irackich policjantów przeciwnicy mieli swoich informatorów, to zostaną odpowiednio wcześniej przez nich uprzedzeni i nikt o zdrowych zmysłach nie będzie próbował ich zaatakować. Rozkaz był jednak rozkazem, a w wojsku nie ma nic bardziej świętego. Dlatego nikt nie próbował go ignorować, wychodząc z założenia, że wyższe dowództwo zawsze wie, co w danej sytuacji powinno się wykonać. A jeśli nie wie, to nie jest to powód, aby niżsi rangą podwładni się nad tym zastanawiali i przede wszystkim pozwalali sobie na głośne komentowanie. W ten sposób dojechali do mostu i tu dopiero co niektórzy pozwolili sobie powiedzieć głośno to, o czy wszyscy myśleli. Jak zwykle w takich sytuacjach całość filozoficznie podsumował Jacho, który był najbardziej sceptycznie nastawiony do wyjazdu:

– Będzie spokojna noc, za dużo z nami jedzie luda, aby cokolwiek się zdarzyło. W takiej sytuacji są tylko dwa możliwe scenariusze: albo nasi sztabowcy się mylą albo ja mam rację.

– Przecież to... to samo – zauważył spostrzegawczo po chwili namysłu szeregowy Leńczyk, spoglądając ze zdziwieniem na wysiadających uśmiechniętych kolegów.

– Wiemy o tym – zapewnił go Zdanek, odbierając plecak i szykując się do zniknięcia za chwilę w pobliskich krzakach. – Dlatego, ustaliliśmy z Jacho, że dzisiaj będziemy się trzymali z dala od kładki, aby nie oberwać przypadkiem od swoich.

– To, po co idziecie? – zdziwił się Leńczyk, czym wywołał wesołość pozostałych.

– Bo, to jest wojsko, szeregowy Rover, a nie burdel z dziewczynkami – rzucił rubasznie sierżant Gecco, puszczając w jego kierunku oko. – Nikt od nas nie wymaga zrozumienia rozkazów, ale ich wykonania i za to jesteśmy rozliczani. Jest rozkaz, aby Jacho ze Zdankiem zabezpieczyli teren przy zachodnim krańcu kanału i tak właśnie będzie, by nikt nie mógł się nam dostać do tyłka.

– Przecież sam pan mówił, panie sierżancie, że to jest bez sensu – dociekał Leńczyk chcąc wszystko zrozumieć.

– Nic takiego nie mówiłem, szeregowy – upomniał go surowo sierżant. – Wyjaśniłem tylko – zaznaczył przeciągle – że mamy robotę do wykonania i właśnie ją wykonujemy, dbając, aby była zgodna z tym, co nam rozkazali nasi sztabowcy. Teraz pania?

– No... tak – zapewnił, ale bez wyczuwalnego przekonania w głosie.

– Szeregowy Rover, ile już czasu jesteś na misji? – zapytał jadący z nimi w Honkerze Luzak, przyglądając mu się z uwagą.

– Na misji... – zastanowił się przez chwilę, próbując w pamięci mniej więcej obliczyć, ile to już dni minęło, odkąd wylądował w Iraku. – No, jakieś sześć tygodni...

– Toś chłopie jest już starym doświadczonym wojakiem i nic cię nie powinno zaskakiwać – zaśmiał się Luzak, puszczając oko do stojącego obok Gecco. – Sześć tygodni na misji w Iraku to prawie tyle samo co pół roku służby na poligonie w Świętoszkowie bez dostępu do latryny i telewizji. Teraz już wszystko pójdzie z górki i nawet się nie obejrzysz, jak pozostałe pięć miesięcy przeleci ci niczym jazda gołym tyłkiem na rozbrykanym jeżu z odbezpieczoną filipinką w dupie.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, oczywiście poza szeregowym Leńczykiem, który po raz kolejny zdał sobie sprawę, że jeszcze dużo musi się nauczyć, chcąc im dorównać.

– A, co to jest świętoszkowo? – spytał cicho Zorgiego, gdy wreszcie umilkł śmiech.

– Jeżeli już, to Świętoszów – wyjaśnił mu równie cicho, obserwując kolegów czy nie widzą, jak mu wszystko tłumaczy. – To największy poligon wojskowy w Polsce i obejmuje połączone dwa poligony: Żagań – zwany, inaczej Karlikiem i Świętoszów, a ponieważ to olbrzymi teren bez żadnych atrakcji, to nazywamy go

Świątoszkowem, bo nie ma tam, gdzie porządnie pogrześć, chyba że ręcznie za drzewem.

– Aha... – Leńczyk potwierdził, że wszystko zrozumiał, choć Zorgi nie był do tego całkiem przekonany.

– Ten, co dzisiaj robi za konia, ma cały czas chodzić krok w krok za kapitanem – przekazał rozkaz sierżant Gecco, zawieszając spojrzenie na szeregowym Leńczyku.

– To znaczy ja?! – ucieszył się szeregowy, czując, że być może oznacza to ważną funkcję do spełnienia, a więc będzie miał okazję się wykazać.

– Gdybym cię nie znał, to może byłbym tak szalony, żeby przydzielić ci takie zadanie – odpowiedział z ciężkim westchnieniem sierżant. – Ale po pierwsze, za dobrze znam twoje szczęście, a po drugie nie chcę, aby drutociągi dostały zawału, jak zaniemiemy im radiostację do naprawy po twoim dyżurze. Potrzebuję kogoś z jajami... – zawiesił głos, spoglądając na pozostałych, jakby liczył, że ktoś z nich zgłosi się na ochotnika. Jak było do przewidzenia, każdy z nich miał coś ważnego do poprawienia przy swoim wyposażeniu i nie miał czasu spojrzeć na sierżanta.

– Znaczy się, mam wyznaczyć ochotnika? – zapytał Gecco, który bynajmniej nie był takim zachowaniem swoich podwładnych zaskoczony.

– To może jednak ja? – zaproponował nieśmiało szeregowy Leńczyk, unosząc ku górze dłoń. – Słowo, że będę uważał.

– Gdyby to tylko chodziło o noszenie radiostacji – jęknął głośno sierżant, ignorując jego zgłoszenie. – Trzeba jeszcze ustalić częstotliwości z fafułami, aby nie wchodzić sobie w paradę. Bez urazy, ale nie jesteś odpowiednim zajęcem do tego.

– Z kim? – dociekał nerwowo Leńczyk. – Kto to są te fafuły?

– Z obsługą mózdzierzy, tłuku – wszedł mu w słowo Luzak, starając się nie wpaść w oko sierżantowi. – Nazywamy ich czasami fafułami... i nie pytaj dlaczego – zastrzegł od razu.

– Też nie przepadam za towarzystwem fafuł – szepnął w ich stronę Zorgi. – Wsadza toto w lufę pocisk i chuj go wie, gdzie on dokładnie polecą. A znając życie mogę się założyć, że zawsze wybuchnie za blisko miejsca, w którym stoi Rover – parsknął śmiechem i to był błąd z jego strony.

– No to mamy ochotnika – ucieszył się sierżant Gecco, patrząc znacząco na niego.

– Kurwa, wiedziałem, że tak to się skończy – zaklął Zorgi, co zapewne oznaczało, że on w odróżnieniu od swego przełożonego nie jest z tego faktu zadowolony. – A chciałem tylko powiedzieć, że wolę łązić z gienią, niż mieć za sobą fafuły. Zawsze muszę coś palnąć...

– Każdy, by wołał z Gienią albo inną Kaśką – odezwał się żartobliwie Leńczyk.

– Jeśli to miał być żart, to marny – warknął w jego stronę Zorgi. – Gienia to nie dziwka fikająca nogami, tylko kałach z podłączonym granatnikiem, przez co ma możliwość wystrzeliwania granatów.

– U nas mówili na to gie-en – próbował tłumaczyć się Leńczyk, ale nikt go nie słuchał.

Żołnierze zadowoleni, że pechowiec został wyznaczony do niewdzięcznego zadania, postanowili zająć się swoimi sprawami. Tylko Zorgi próbował to jeszcze jakoś wszystko odkręcić.

– Sierzancie bądź człowiekiem, a nie psem przewodnikiem – prosił, wskazując spojrzeniem na Leńczyka. – Chłopak chce spróbować, to daj mu szansę. Obiecuję, że będę cały czas miał go na oku i jakby co, to mu pomogę.

– Zorgi, powiem ci wprost, bo cię lubię – Gecco uśmiechnął się do niego. – Dzisiaj musi wszystko grać, aby szeryf nie mógł się do niczego przyczepić. Możesz uważać, że jestem najgorszym z przełożonych, jacy ci się zdarzyli, ale nie namówisz mnie, abym zmienił decyzję. Zgłosiłeś się na ochotnika, więc przyjmij pozycję Dżinksa i czekaj na rozkaz. Koniec dyskusji...

– O czym on mówi? – spytał cicho Leńczyk Luzaka, widząc jak tamten nie kryje zadowolenia, że to nie on załapał się na konia. – Jaki znów džinks?

– Oglądałeś kreskówki Disneya? – spytał ze śmiechem Luzak, puszczając do niego oko. – Kot Dżinks to jeden z bohaterów, który za każdym razem chciał złapać mysz i zawsze dostawał wpięprz – wprowadzał kolegę w tajemnice służby, ignorując nerwowe spojrzenie Zorgiego, po czym teatralnie rozłożył dłonie, jakby chciał pokazać, że to nie jego wina, że właśnie Zorgi został wyznaczony do tego zadania. – Ale pozycję do biegu zawsze zajmował doskonale... – dodał złośliwie.

– Walcie się, sierściuchy – warknął Zorgi, zdając sobie sprawę, że on w odróżnieniu od pozostałych raczej nie odpocznie dzisiejszej nocy. – Przyjdzie pora, to się zamienimy pozycjami – obiecał ponuro, zerkając z urazem w stronę sierżanta, który uraczył go taką robotą.

Reszta odbyła się już standardowo. Oficjalne przekazanie posterunku z Ukraińcami.

Informacja, że ich saperzy sprawdzili kolejne trzysta metrów w kierunku kładki i znaleźli trochę niespodzianek, które nie musiały być założone w ostatnim czasie, to jednak mogły, im sprawić sporo kłopotów. Nikt nie był w stanie dokładnie określić czy była to pozostałość po poprzedniej wojnie, czy ktoś to założył niedawno. Czekali na ich przyjazd, aby wysadzić znaleziony materiał, bo przewóz na bardziej odosobniony teren wydawał się saperom zbyt niebezpieczny i niewarty ryzyka. Znalezione niewypały umieszczono w dużej transzei do tej pory skutecznie uniemożliwiającej przejazd w stronę kładki ich pojazdom. Ukraińscy saperzy specjalnie tak ułożyli znalezione materiały wybuchowe, żeby ich wybuch zniwelował głębokość okopu w jednym miejscu i umożliwił przejazd na drugą stronę.

Kwadrans później było już po wszystkim i rzeczywiście powstały krater skutecznie uszkodził wysokie skarpy na tyle że pojazdy terenowe mogły ją pokonać, choć musiały przejeżdżać ją na skos. Ważne było, że teraz nic nie utrudniało

przejazdu pojazdów do samej kładki, choć wszyscy w skrytości ducha mieli nadzieję, że to nie oni pierwsi będą musieli z niej skorzystać. Teraz mogli już tylko czekać mając nadzieję, że ich dzisiejsza obecność nie zostanie niczym zakłócona... i co pół godziny kontaktować się ze sztabem w Camp Echo, aby przekazać kolejne uspokajające meldunki. Gdyby działo się coś niepokojącego, oficer dyżurny poprzez oficera łącznikowego USAF miał połączyć się z najbliższą bazą lotnictwa, gdzie czekały przygotowane do akcji samoloty i śmigłowce bojowe. Dodatkowo mieli już zgodę Dowództwa Dywizji, by w wypadku ataku przekazać stacjonującym w pobliżu oddziałom ukraińskim rozkaz wsparcia blokady na moście i nie zatrzymywać się na wysokości swojego ostatniego kontrolowanego przez siebie check pointa, tak jak było poprzednio.

First Lieutenant United States Air Force Paul A. Schwartz, czyli porucznik drugiego stopnia sił powietrznych Stanów Zjednoczonych, pełnił funkcję dowódcy drużyny łącznikowej pomiędzy wojskami sojuszniczymi w Camp Echo a lotnictwem USAF. Specjalnie tak ustawił dyżury, żeby to jemu przypadła służba nocą, kiedy to, jak przewidywali oficerowie sztabowi Międzynarodowej Dywizji, mogło dojść do kolejnego ataku na blokadę, która dwa dni wcześniej przechwyciła transport broni. Tym razem byli na to przygotowani i czekali tylko na sygnał, aby poderwać ptaszki do góry i raz na zawsze zakończyć sprawę. W swojej drużynie miał jeszcze pięciu podoficerów z odpowiednim doświadczeniem. Sami doskonale by sobie poradzi z taką sytuacją, ale doszedł do wniosku, że zapewne przez sojuszników będzie lepiej odebrane, gdy on sam podejmie się dyżuru w tak stresującym momencie. Tym bardziej, że po raz pierwszy uzyskał zgodę od swoich przełożonych, aby pokazać wszelkie możliwości, jakie daje współpraca pomiędzy rozpoznawczymi samolotami bezzałogowymi wyposażonymi w elektroniczne kamery, a siłami działającymi bezpośrednio na ziemi. Co prawda nie był to samolot MQ-9 znany jako hunter-killer,

czyli myśliwy-zabójca, mający w swoim arsenale sporo broni, a jeden z jego wcześniejszych braci, wyposażony wyłącznie w superczął kamerę przekazującą obraz z wysokości paru kilometrów, ale zawsze było to coś nowego. W tym wypadku nie chodziło tylko o pokazanie jego możliwości, ale i o uświadomienie sojusznikom, że skoro istnieje możliwość obserwowania terenu nocą i przekazywanie uzyskanego obrazu na monitor w bazie oddalonej od miejsca akcji o sto kilometrów, to może warto tym zainteresować swoich zwierzchników w kraju. Oficjalnie głównym terenem działania samolotu rozpoznawczego był rejon pomiędzy Al Kut a Al Diwanijja, ze szczególnym uwzględnieniem niewielkiego, dwudziestotysięcznego miasta Afak, przez które przebiegała najkrótsza droga pomiędzy tymi miastami. Z wiadomości, do jakich dotarł wywiad, wynikało, że działa tam dobrze zorganizowana i niebezpieczna grupa terrorystów powiązanych z Al Kaidą, która ostatnio zwiększyła swoją aktywność. Kilka razy podłożyła domowej roboty bomby, zwane IED, na lokalnej drodze, a teraz podobno szykuje jakąś spektakularną akcję, która ma pokazać, że niewierne wojska nie będą mogły się tutaj czuć bezpiecznie. Najgorsze było to, że pobliski teren był w większości niezamieszkały i pozbawiony klasycznych dróg, co powodowało trudności w przemieszczaniu się po tym terenie, a już w ogóle niemożliwe było, żeby któryś z konwojów wojsk sojusznicznych zdołał tego dokonać niezauważony przez lokalnych mieszkańców. W niewielkiej odległości od miasta znajdował się największy zbiornik wodny w tym rejonie. Z tego powodu teren był atrakcyjny dla terrorystów, którzy bez kłopotu mogli znaleźć schronienie wśród okolicznych szuwarów i bagien, ale także uciążliwy i niebezpieczny dla żołnierzy, którzy chcieliby ich ująć i postawić przed sądem. Wszyscy jednak wiedzieli, że prędzej czy później będą musieli działać w tym rejonie i dlatego postanowili sprawdzić interesujące ich tereny, żeby potem nie było żadnych niespodzianek.

Porucznik Paul A. Schwartz stracił humor, gdy w sali operacyjnej bazy zorientował się, że oficerem dyżurnym jest „nadpułkownik” – jak go określali wszyscy młodszy oficerowie w bazie – a naprawdę podpułkownik Dąbrowski. Nie przepadał za nim z dwóch powodów: „nadpułkownik” starał się każdemu udowodnić, że jest jedynym nigdy nie mylącym się oficerem w Camp Echo, oprócz tego miał śmieszna manierę: wtrącał do większości zdań, choćby jedno obcojęzyczne słowo, co miało udowodnić rozmówcy, że jest prawdziwym poliglotą. Osobiście Schwartz wolałby, aby „nadpułkownik” opanował jeden język, ale za to w stopniu pozwalającym na prowadzenie konwersacji. Niestety, było to z założenia niemożliwe, bo pułkownik jak zwykle wszędzie był, wszystko widział, o wszystkim słyszał, tylko nie zdążył jeszcze tego zgłębić. W ogóle lepiej się czuł, gdy miał do czynienia z młodszymi stopniem oficerami, którzy przyswoili sobie nie tylko angielską terminologię wojskową, ale także ogólną, co pozwalało porozmawiać także na inne tematy, choćby takie jak sport, muzyka czy życie poza służbą. To w przypadku wyższych polskich oficerów z Dywizji Międzynarodowej było w większości niemożliwe, choć oczywiście nie dotyczyło wszystkich, z którymi się tutaj spotykał.

Wbrew przewidywaniom oficerów sztabowych zgromadzonych w sali operacyjnej, noc była spokojna. Na blokadzie mostu, gdzie spodziewano się kłopotów i gdzie zgromadzono największe siły, nic się nie działo. Według składanych meldunków nie pojawił się tam żaden pojazd, który chciałby przejechać przez most na drugą stronę kanału. Z jednej strony było to uspokajające, ale z drugiej, wszyscy w napięciu oczekiwali na coś, co miało się wydarzyć. Pobudzony „nadpułkownik” podtrzymywał napięcie, przypominając wszystkim, że tego dnia gdy posterunek został zaatakowany, panował także spokój, więc jak nic coś się będzie działo, trzeba tylko czekać i być gotowym do działania.

Przy moście panował spokój, ale drugi konwój z bazy, sprawdzający trasę pomiędzy bazą Camp Delta a Camp Echo, miał dwa nieplanowane przestoje i nie miał szans, aby zmieścić się w zaplanowanym przez sztabowców harmonogramie. Powodem opóźnienia były dwa podejrzane przedmioty zauważone obok drogi, więc cały konwój musiał się zatrzymać i czekać na przyjazd patrolu ukraińskich saperów, który sprawdzał, czy istnieje realne zagrożenie. W pierwszym przypadku nic takiego się nie potwierdziło, bo leżące na drodze truchło psa, wbrew przewidywaniom, nie było nafaszerowane ładunkiem wybuchowym, choć słyszeli już o takich zasadzkach i woleli to sprawdzić niż bez sensu ryzykować. Drugie miejsce okazało się jednak strzałem w dziesiątkę, bo w podejrzanym miejscu znaleziono przykryte kamieniami dwa pociski artyleryjskie, podłączone do zapalnika naciskowego ukrytego pod niewielkim kawałkiem deski leżącej na drodze. Zanim jednak przyjechali saperzy i uporali się z IED, konwój był opóźniony o cztery godziny w stosunku do planu. Zastanawiano się nawet, czy nie wycofać konwoju do Camp Delta, by mogli tam spędzić noc i wrócić do Camp Echo dopiero rankiem następnego dnia. Okazało się jednak, że taka opcja nie wchodzi w rachubę, bo to całkowicie zdeorganizowałoby wszystkie zaplanowane na następny dzień operacje. Poza tym pokonali już połowę trasy, więc „nadpułkownik” uparł się, że akcję trzeba doprowadzić do końca, bo inaczej źle by to wyglądało w sprawozdaniu z jego dyżuru. W efekcie konwój ruszył dalej, kierując się w stronę miejscowości Afak, skąd miał do przejechania jeszcze około czterdziestu kilometrów do bazy Echo. Jak to szybko wyliczył „nadpułkownik”, tyle to można pokonać w pół godziny, choć jak zwykle nie wziął pod uwagę, że samo przejechanie Diwanijji zajmuje więcej czasu, a jazda nocą jest niebezpieczna.

– Jest noc i drogi są czyste – wyjaśnił spokojnie, dostrzegając niedowierzające spojrzenie pozostałych osób. – Dodadzą gazu i nadgonią trochę straconego czasu. A

w mieście będzie ich konwojowała iracka policja na sygnale, zaraz to załatwimy. Zresztą nic się nie dzieje...

– Jak to, nic się nie dzieje? – zdziwił się jeden z mających dyżur pajaków, ale od razu przerwał, by nie podpaść starszym stopniem. Nie powiedział tego jednak na tyle cicho, aby oficer dyżurny tego nie dosłyszał, więc dodał wyjaśniająco, dostrzegając jego spojrzenie utkwione w sobie: – Są jeszcze check pointy, a na każdym traci się z kwadrans, zanim je przejadą.

– Was się nikt o zdanie nie pytał – zwrócił mu uwagę „nadpułkownik” i nie byłby sobą, gdyby nie dołączył do tego zwykłej dla siebie złośliwości: – I lepiej zajmijcie się swoją pracą, bo za to wam płacą, a nie za domorośle analizy, do których nie jesteście upoważnieni. Ostatnie zdanie zostawcie prawdziwym fachowcom z doświadczeniem, takim jak... choćby ja.

Radzik nie podjął dyskusji, czym udowodnił swoją mądrość życiową, ponieważ z wyższymi oficerami się nie dyskutuje, tylko udaje, że wykonuje się ich rozkazy. Wydawało się, że cała sytuacja ulegnie samoistnemu uspokojeniu, więc wszystko odetchnęli z ulgą i każdy skupił się na swojej pracy. Z całego grona tylko „nadpułkownik” był wyraźnie rozczarowany spokojem panującym podczas jego dyżuru. Jego wzrok w końcu spoczął na amerykańskim oficerze łącznikowym USAF, który korzystając z okazji rozmawiał z siedzącym obok niego oficerem łączności.

– I co, poruczniku? Wasz wart miliony dolarów sprzęt, tak nam się sprawdza, jak lot muchy w smole. Żadnego z niego pożytku – zauważył cierpko, siadając na stojącym obok krześle i ignorując ich niezachęcające spojrzenia. – Tyle zachodu ze strony naszego dowództwa, a teraz się okazuje, że to tylko stracone litry paliwa, jakie wypalą te wasze samolociki – nie ukrywał sceptycznego podejścia.

– Pozwoli pan pułkownik, że nie zgodzę się z jego zdaniem. – Porucznik Paul A. Schwartz nie należał do tych oficerów, którzy z założenia zgadzali się z każdą wypowiedzią starszego stopniem przełożonego. Choćby z innej armii. – Według

mnie powinniśmy się cieszyć, że nie musimy wykorzystywać naszego potencjału, bo to oznacza, że naszym żołnierzom nic w tej chwili nie grozi. A po drugie, to wcale nie jest tak, że nasz sprzęt nic nie robi. Cały czas przekazuje obraz z terenów, nad którymi w tej chwili przelatuje, a te informacje są na bieżąco zapisywane w pamięci komputera. Nigdy nie wiadomo kiedy to się nam przyda

– A, co to według pana znaczy, że naszym żołnierzom nic nie grozi? – zaperzył się „nadpułkownik”. – My tu jesteśmy na wojnie, a nie na imprezie u pani Halinki, gdzie wszyscy mają odpoczywać i dobrze się bawić. Naszym obowiązkiem jest poczynić wszelkie działania, aby wyeliminować jak najwięcej przeciwników, dlatego ja osobiście nie cieszę się, że nie możemy wykorzystać sprzętu, który mamy do swojej dyspozycji.

– Chciałem tylko powiedzieć, że brak zagrożenia dla naszych żołnierzy to dobra wiadomość, bo oznacza, że nic im nie grozi – próbował się bronić, ale „nadpułkownik” nie miał zamiaru dopuścić go do głosu, choć przy okazji nie usłyszał cichego komentarza „Radzika”.

– Jakbym siedział cały czas w ciepłym, klimatyzowanym pokoju, bezpieczny w bazie, to też byłoby mi to obojętne.

– Jesteście za młodzi, aby to rozumieć – perorował dalej „nadpułkownik”, nie zwracając uwagi na skrywane uśmiechy pozostałych. – Im szybciej poradzimy sobie z wrogami, tym lepiej będzie dla tego kraju i naszych żołnierzy. Nie jest w tej chwili ważne, czy możemy teraz spokojnie odpoczywać, ale to, aby jak najszybciej doprowadzić do sytuacji, w której każdy terrorysta będzie się bał przeciwko nam wystąpić. Dlatego nie jestem zadowolony, że nic się nie dzieje. Szczególnie teraz, gdy mamy do swojej dyspozycji taki nowoczesny kosmiczny sprzęt, który pozwoliłby nam na szybkie odnalezienie i zwalczanie terrorystów.

– Filmujemy cały czas... – wtrącił jeden z oficerów, ale to tylko zdenerwowało „nadpułkownika”, który zareagował cokolwiek nerwowo.

– I co z tego mamy?! – zachnął się, machając ze zniecierpliwieniem dłonią. – Obraz z samolociku, który lata gdzieś wysoko i gówno z tego widać. Nawet podglądu nie mamy.

– Mamy, panie pułkowniku – zaprzeczył porucznik Paul A. Schwartz. – Cały czas elektroniczne obrazy rejestrowane przez rozpoznawczy samolot bezzałogowy są przekazywane do naszego komputera, ale ponieważ nic się nie dzieje, nie przełączyliśmy obrazu na ekran. Jeśli Pan chce, zaraz możemy go wrzucić.

– I co ja tam zobaczę? – spytał z irytacją w głosie podpułkownik. – Jakież zaszrane piksele?

– Wszystko zależy od tego, na co będzie przełączona kamera – pospieszył z wyjaśnieniami jeden z jego pomocników. – Oczami Predatora są kamery, radar i system podczerwieni, tak zwany Forward Looking Infra-Red, inaczej FLIR. Dane mogą być wysyłane w czasie rzeczywistym w zależności od potrzeb. Jednocześnie dzięki łączom komunikacji satelitarnej można obraz skierować bezpośrednio do żołnierzy znajdujących się na polu walki oraz do sztabu znajdującego się kilkanaście kilometrów dalej lub w każde dowolne miejsce na świecie.

– Nie odkryliście nic nadzwyczajnego – „nadpułkownik” wzruszył ramionami, jakby odganiał się od kąśliwej muchy. – Słyszałem o tym, kiedy wyjechałem na pierwsze szkolenie do Brukseli. Pokazywali nam nawet, jak jakiś sierżant siedzi sobie w ciepélku i lata nim posługując się dżojstikiem. Zabawka dla dzieci...

– Zabawka, która może zabijać – wtrącił porucznik Paul A. Schwartz.

– Słyszałem, słyszałem – zapewnił „nadpułkownik” nie kryjąc grymasu. – Ale, ile to kosztuje?! Ja nigdy bym takiego kosztownego sprzętu nie dał w ręce jakiegoś klawiszowca, przecież oni w ogóle nie znają się na wojsku.

– Proszę mi wierzyć, że to są doskonali żołnierze, którzy najpierw długo ćwiczyli, zanim pozwolono im samodzielnie pilotować ten sprzęt.

– Małpę też można sporo nauczyć, ale człowiekiem nigdy nie będzie – zachnął się „nadpułkownik”. – Osobiście słyszałem, jak taki operator odzywał się do swojego dowódcy. Jakby to był kolega od piwa, żadnej dyscypliny czy wojskowej etyki. Dla mnie takie postępowanie jest nie do przyjęcia. Brakuje jeszcze, aby im pozwolili nosić długie włosy i jarać jointy na służbie.

– Może był pan, pułkowniku, na pokazie firmowym? – podpowiedział cicho porucznik Paul A. Schwartz, bo jakoś nie mógł uwierzyć, aby w jakiejś armii nie panował wojskowy dryl. – W prywatnych firmach mają inne obyczaje i często zasady odbiegające nieco od wojskowego stylu, ale zapewniam pana, że to doskonali fachowcy, choć na to nie wyglądają.

– Byli w mundurach... – odpowiedział z niechęcią „nadpułkownik”.

– To akurat niczego nie dowodzi – wtrącił jeden z drucików.

– Jak to niczego nie dowodzi?! – zdenerwował się „nadpułkownik”, nakręcając się z oburzenia. – Jak się ma na sobie mundur, to zobowiązuje! Prawdziwy mężczyzna i wojownik nie zakłada moro dla zabawy, tylko do ciężkiej pracy, jaką jest służba ojczyźnie. Mundur to nie jest jakiś tam ciuch albo ubranie robocze. Mundur to postawa, duch, etos, symbol nie tylko narodowy, ale tradycji żołnierskiej. To element historii każdego państwa, to jego historia, krew i pot jego żołnierzy.

– Który w końcu trafia na czyściwo albo do sklepu z militariami – dodał od siebie jeden z siedzących w pokoju, ale na jego szczęście „nadpułkownik” tego nie słyszał, bo prawie w tej samej chwili jeden z radiotelegrafistów uniósł rękę do góry, informując, że coś się dzieje w eterze.

– Co jest, żołnierzu? – od razu zainteresował się „nadpułkownik”.

– Otrzymałem informację z nasłuchu US Army, że zauważono natężenie połączeń telefonicznych w rejonie miejscowości Afak w dystrykcie Qadisiyah Al i zapytanie, czy nie mamy tam żadnego naszego patrolu.

– Oczywiście, że nie – zapewnił błyskawicznie „nadpułkownik”.

– A ten opóźniony konwój? – wszedł mu w zdanie jeden z obecnych oficerów.

– A tak – stropił się na chwilę „nadpułkownik”. – Kurna, zapomniałem o nim...

– przyznał, przyglądając się swoim podwładnym, jakby oczekiwał od nich jakiejś inicjatywy.

– Przesunę tam nasz samolocik – zaproponował porucznik Paul A. Schwartz, nie przejmując się tym, że nie był to jego obowiązek. Uważał za sensowne coś zaproponować. – Zobaczymy, czy będzie nam w stanie pomóc i sprawdzimy przy okazji, do czego może się nadać.

– Jeśli pan zdąży, poruczniku, bo z nasłuchu wynika, że konwój do Afak ma jakieś pięć kilometrów – podpowiedział łącznościowiec i zmieszany spojrzął na oficera dyżurnego, jakby w obawie, że temu się nie spodoba jego zachowanie. – Mam przełączyć nasłuch konwoju na głośnik, panie pułkowniku?

– Nie – zdecydował „nadpułkownik” po chwili namysłu. – Zgadzam się z oceną naszych analityków, że dzisiejszej nocy wszystko się rozegra przy moście, a wszystkie inne działania naszych przeciwników mają wyłącznie na celu rozdzielenie naszych sił i osłabienie blokady na moście. Przekażcie kapitanowi Młodszemu ostrzeżenie, że przeciwnik już zaczął operacje osłaniające i mogą zostać w każdej chwili zaatakowani...

– To może... Prześlę do jadącego konwoju ostrzeżenie, żeby uważali – zaproponował szef łącznościowców, a widząc zmarszczoną i niechętną minę „nadpułkownika”, szybko dodał: – To podniesie, im adrenalinę i zwróć większą uwagę na to, co dzieje się wkoło, a nikt nie będzie mógł nam zarzucić, że nic nie robiliśmy.

– No dobra... – zgodził się niechętnie „nadpułkownik”, którego najbardziej przekonała uwaga, że nikt nie będzie mógł im nic zarzucić. – Ale nie rozpraszaajmy naszej uwagi, najważniejsza jest blokada na moście. Wszyscy zrozumieli?

– Tak jest... – padła ogólna odpowiedź, ale miny obecnych nie potwierdzały, że zgadzają się z poglądem analityków i „nadpułkownika”.

– Na wszelki wypadek podeślę tam jednak nasz samolocik – stwierdził cicho porucznik Paul A. Schwartz do szefa łącznościowców – Jakoś mnie nie przekonuje ten trzeci pod rząd atak na most... To wbrew wojskowej logice, a jakoś nie mogę uwierzyć, że wszyscy terroryści są idiotami i debilami, którzy nie wiedzą, jak to się odbywa.

– Jestem tego samego zdania... – łącznościowiec przyznał mu rację, a po chwili dodał scenicznym szeptem, z udawaną powagą, naśladowując głos „nadpułkownika” – Ale, jeśli nie wiecie dokładnie, o co chodzi, kolego, to proponuję zastosować się do rozkazów starszych stopniem i doświadczeniem kolegów.

– Jak widzę, wszystkie armie są do siebie podobne, bez względu skąd pochodzą – z trudem zachował powagę porucznik, po czym połączył się z operatorem samolotu, żeby przekazać mu nowe polecenie. Jeszcze przez chwilę „Radzik” słyszał, jak podaje współrzędne geograficzne. – Trzydzieści dwa stopnie trzy minuty czterdzieści pięć sekund North, czterdzieści pięć stopni czternaście minut trzydzieści cztery sekundy East. Kiedy możemy liczyć na pierwsze zdjęcia?... Za sześć, osiem minut? No tak, to graniczna wartość, jaka nas interesuje... Wiatr może nam pomóc? To dobrze, bardzo na to liczę. Dobra, będę wdzięczny za wszelkie informacje...

Pięć minut później uwagę wszystkich przyciągnęła ożywiona wymiana informacji w eterze i o dziwo, wbrew nadziejom analityków, nie chodziło o stanowiska przy moście, ale o konwój, który przejeżdżał przez miasto Afak. Jeden z łącznościowców, nie czekając na pozwolenie „nadpułkownika”, przełączył podsłuch na głośnik, dzięki czemu wszyscy mogli słyszeć coraz bardziej zdenerwowane głosy żołnierzy z konwoju. Oczywiście takie samodzielne podjęcie decyzji przez podoficera nie zachwyciło oficera dyżurnego, który w duchu obiecał sobie, że

porozmawia z nim i jego dowódcą po zakończeniu dyżuru i wyjaśni im, na czym polega służba i dyscyplina żołnierska.

– Tu Foks Jeden, uwaga do wszystkich w konwoju – zaskrzeczał od razu głośnik. – Przejeżdżamy przez Afak. Na poboczach widać tłum agresywnych mieszkańców...

– Foks Jeden, tu Foks Pięć. Nie wiem jak u was, ale rzucają kamieniami... aż echo idzie po wnętrzu.

– Nie reagować – usłyszeli uspokajający głos dowódcy konwoju, czyli Foksa Jeden. – Powtarzam. Nie reagować na zaczepki. Przejeżdżamy przez miasto i kierujemy się do bazy.

– A może jakaś seryjka nad nimi? – zaproponował ktoś z konwoju, włączając się do rozmowy i przy okazji nie podając swojego kryptonimu, co było zachowaniem absolutnie niedopuszczalnym w trakcie akcji. – Schowają się po tych swoich norach, a my szybciej przejedziemy.

– Nie odzywać się anonimowo! – skarcił go od razu Foks Jeden. – Chcesz powiedzieć coś mądrego, to podaj swój kryptonim. To ciebie także obowiązuje, Czwórka.

– Oki, Jedynka – odezwał się skarcony podwładny. – Tak sobie tylko głośno myślałem, nawet nie zauważyłem, że możecie mnie słyszeć.

– Raczej nie myślałeś... – dodał ktoś nowy i parsknął głośnym śmiechem.

– Nie gadać. Cisza w eterze – po raz kolejny skarcił ich dowódca. – Pogadamy, jak będziemy w bazie, a teraz mordy w kubek i rozglądać się wkoło, żeby nie było żadnej wpadki. Zauważył ktoś u mieszkańców broń?

– Tu Dwójka. Są pobudzeni, ale nie zauważyłem żadnej broni... Machają rękami i rzucają kamieniami, to wszystko...

– Jak na razie... – dodał ktoś od siebie.

– Ty, optymista, zamknij się, bo wykraczesz – skarcił go od razu inny.

– Spokojnie, foksy – usłyszeli ponownie głos dowódcy, czyli Jedyńki. – Już pół miasta za nami... Za jakieś trzysta metrów będziemy na skrzyżowaniu na Bagdad i Diwanijję. Przypominam, że skręcamy w lewo, w stronę bazy... Na wszelki wypadek zablokuję skręt na Bagdad, przepuszczę cały konwój i doskoczę do ostatniego. Uważajcie, bo wyjazd jest zawsze najgorszy i możemy spodziewać się, że wyskoczy jakiś podrajcowany szaleniec, aby pokazać innym, że nas się nie boi.

– Spoko, Jedyńka. Damy radę...

– Kurwa, chłopcy, ile razy mam prosić o profesjonalizm – wściekł się dowódca.

– Spoko, Jedyńka – uspokajał go ten sam głos, co przed chwilą. – Jesteśmy już czternastą godzinę w drodze, każdemu może odwalić. Trzeba się jakoś pobudzać, aby zachować koncentrację.

– Jutro nas znowu gdzieś wyślą – jęknął ktoś w głośniku.

– Kurwa, o mało co nie dostałem kamieniem – poskarżył się kolejny i od razu wyjaśnił. – Tu gunner z Czwórki. Są coraz bardziej napastliwi.

– Spoko, chłopaki. Dojeżdżamy do skrzyżowania – do głosu ponownie doszedł Foks Jeden. – Wypadam z kolumny i blokuję drogę na Bagdad. Reszta pojazdów przyspiesza i niweluje lukę, jaka powstanie po moim wyjeździe. Ruszę za ostatnim pojazdem i będę was osłaniał z tyłu.

– Pilnuj się mojego tyłka, dam ci osłonę – zapewnił spokojnie ten, co zawsze zapominał podać swój kryptonim. Tym razem przypomniał sobie o tym w ostatniej chwili, bo szybko dodał: – Tu Szóstka, znaczy się... I nie bój się nic, będziesz pod moją ochroną.

– Tego się właśnie obawiamy – jęknęła Dwójka i wszyscy zaczęli się śmiać, choć nie trwało to długo, bo niespodziewanie z głośnika padło ostrzeżenie.

– Tu Czwórka! Jeden z szuszwoli ma broń. Na dziesiątej... Jedyńka uważaj, bo oni zawsze strzelają do ostatniego.

– Lepiej sam patrz na pobocze, abyś nie wjechał w jakieś gówno – poradził mu Dwójka. – Ja tam nie widzę nic podejrzanego... Według mnie to facet z łopata, a nie z kałachem.

– Z łopata? Dałbym głowę, że widziałem dołączony do tej łopaty magazynek – odpowiedziała z sarkazmem Czwórka. – Nie chciałbym mieć do czynienia z taką łopata.

– Cisza w eterze – upomniała Jedyńka. – Ja was chyba nigdy tego nie nauczę... Blokuje wjazd na Bagdad. Teraz już mamy prosto do bazy, więc ostrożnie, panowie.

– Spoko, nie w takich tarapatach byliśmy.

– Uważajcie, aby jakiś debil nie wyskoczył z rurą... – upominał wszystkich Jedyńka. – Strzelcy, miejcie oczy dookoła głowy, w mieście może to nastąpić w każdej chwili.

Prawie w tej samej chwili z głośnika dobiegł odgłos strzałów. Słuchający w pomieszczeniu oficerowie spojrzeli po sobie z przestachem wiedząc, co to może oznaczać, ale nikt się nie odezwał.

– Słyszeliście to? – ponownie w głośniku poznali głos Jedyńki. – Jakiś szuszwol wali z kałacha... na szczęście chyba po niebie. Dobrze, że nie po nas.

– Naukowo jest udowodnione, że większość ludzi strzela tak, aby nie trafić drugiego, tylko go nastraszyć... – wtrącił swoją uwagę „nadpułkownik”, a widząc zdziwione spojrzenia pozostałych osób w pomieszczeniu, szybko dodał: – Mieliśmy to na kursie psychologicznym. Są podobno cztery klasyczne odruchy: walka, ucieczka, straszenie i poddanie się.

Przez chwilę patrzył na pozostałych z widocznym zadowoleniem, po czym nie dostrzegając w ich zachowaniu zainteresowania, machnął ze zniecierpliwieniem ręką. Ponownie wszyscy wsłuchiwali się w odgłosy dochodzące z głośnika i tylko porucznik Paul A. Schwartz rozmawiał z ożywieniem przez mikrofon, choć nikt nie słyszał, o czym.

– Tu Foks Dwa – ponownie zabrzmiało nerwowo z głośnika. – Widzę jakieś sylwetki przemykające opłotkami... Według mnie są uzbrojeni i raczej nie są nastawieni pokojowo!

– Spokojnie! Może dadzą nam wyjechać bez kłopotów. – Jedyńka cały czas był optymistycznie nastawiony. – Pojawiliśmy się tutaj niespodziewanie i może zaskoczyliśmy tu kogoś, komu zależy, aby się z nami nie spotkać.

– Oby... – nie wytrzymał ktoś z konwoju.

– Tu Czwórka... Może, podgrzeję im koło tyłka? Puszczę serię ponad głowami... Jak ich znam, to popuszczą w gacie i zostanie po nich tylko smród.

– Zabraniam! – od razu odezwał się Jedyńka. – Póki nie jesteśmy atakowani, sami nie prowokujemy kłopotów. Dwójka, daleko jeszcze do granic miasta?

– Na wyciągnięcie dłoni – zaskrzeczała w odpowiedzi wezwana załoga. – Jakies pięćdziesiąt metrów i minę ostatnie zabudowania po prawej stronie. Po lewej są tylko ruiny i jakieś nieużytki. Mam się tam zatrzymać i was osłaniać?

– Nie. Jedź dalej, jesteś teraz naszymi oczami – wszyscy rozpoznali głos Jedyńki. – Właśnie mija mnie ostatni pojazd konwoju, więc zaraz dołączę. Dziesięć kilometrów dalej jest rozjazd i estakady na Bagdad, tam się przegrupujemy, ale teraz każdy pilnuje swojej pozycji i otwieramy ogień dopiero wtedy, gdy zostaniemy zaatakowani.

– Naszym szefom chyba nie o to chodziło – wtrącił zjadliwie Czwarty Foks.

– Ale to my nadstawiamy dupy, podczas gdy oni siedzą w fotelach w bazie i walczą palcem po mapie – zauważył złośliwie Jedyńka, co zostało źle przyjęte przez „siedzących w fotelach”.

– Kto to jest? – od razu chciał się dowiedzieć „nadpułkownik”, nie wsłuchując się w padające z głośnika solidarne odzywki pozostałych członków konwoju. – Takie komentarze, szczególnie ze strony oficera, są niedozwolone i trzeba mu to jasno powiedzieć! Jak się boi, to niech wraca do domu! Nam tu takich nie potrzeba!

– To jeden z naszych lepszych dowódców – poinformował go jeden z oficerów, starając się ukryć pojawiający się na twarzy grymas złości. – Od dwóch tygodni codziennie jeździ w konwoju i nie może się porządnie wyspać. To samo dotyczy jego ludzi, więc nic dziwnego, że czasami zdarza mu się coś palnąć.

– Nikt go nie zmusza do kolejnych wyjazdów w teren – zachnął się „nadpułkownik”. – Jak sobie nie radzi, niech zda dowództwo nad swoimi ludźmi... Na pewno nie jest niezastąpiony i jedyny do takiej roboty.

– Chce pan to robić zamiast niego? – zainteresował się jego zastępca i nie zabrzmiało to ani służbowo ani zachęcająco do dalszej dyskusji. – Od tygodni jeździmy na maksymalnym obciążeniu, dwadzieścia godzin na dobę, a i tak część zadań musimy odłożyć na później, bo się nie wyrabiamy. Jeżeli zgłasza się pan na ochotnika, to bardzo się cieszę. Trzeba tylko stworzyć oddział z tych wszystkich pisarczyków siedzących na tyłkach i nie opuszczających terenu bazy, a od razu byłoby wszystkim łatwiej.

– Wypraszam sobie takie insynuacje! – zwrócił mu uwagę „nadpułkownik”, lekko podnosząc głos, żeby było wiadomo, kto tu dowodzi. – Jeśli będzie taka potrzeba, to nie pan, majorze, będzie o tym decydował.

– Panowie, mamy pierwszy podgląd... – poinformował wszystkich porucznik Paul A. Schwartz, wskazując palcem na jeden z wiszących powyżej monitorów. Wszyscy odruchowo spojrzeli na niego, ale poza szarymi paskami trudno było na nim coś dojrzeć.

– Tam nic nie widać – zauważył z grymasem niechęci na twarzy „nadpułkownik”. – A mówiłem, że ta wasza technologia dwudziestego pierwszego wieku jest gównem warta!

– Jeszcze moment, panie pułkowniku – odezwał się jeden z techników, wciskając kolejne przyciski przy swoim komputerze. – Obraz może rzeczywiście nie

będzie wspaniały, bo ujęcie kamer będzie pod kątem i z tego powodu będzie trochę zniekształcone, ale to wszystko, co możemy w tej chwili zapewnić.

– Ale da się go obejrzyć – zapewnił szybko porucznik Schwartz.

I rzeczywiście, paski na ekranie zniknęły, a po chwili można było dostrzec zarysy szarych, ukrytych w ciemnościach zabudowań.

– To budynki... – wyjaśniał porucznik Schwartz, wskazując na pojawiające się coraz wyraźniej kształty. – Tu mamy drogę, a te jasne smugi to nasz konwój na drodze. Widać jak się poruszają... Zaraz powinno być całkiem dobrze, gdy tylko samolot przybliży się do pozycji, która pozwoli na uzyskanie lepszego obrazu, teraz ma jeszcze za duży kąt pracy kamer.

Ponownie zabrzmiał głośnik przekazujący nasłuch radiowy konwoju.

– Tu Foks Czwórka. Widzę coraz więcej ludzi wkoło... To nie wygląda na pokojowe pożegnanie.

– Czwórka, nie piernicz, tylko zasuway do przodu – rozkazał Jedyńka. – I miej oczy szeroko otwarte.

– A co ja, kurwa, robię! – pieklił się ktoś w głośniku.

– Nie przeklinaj, bo kapelonek usłyszy i będziesz musiał krzyżem leżeć – poradził mu ktoś w eterze.

– Wal się... – jęknął Czwórka. – Razem ze swoim kapelanem. Kurwa, skąd oni się biorą? Jest ich coraz więcej...

– Kurwa, wyłażą na drogę – poskarżył się kolejny. – Foks Jeden, dochodź do mnie szybciej. Mamy za dużą przerwę między sobą, zaraz ktoś w nią wejdzie i będą kłopoty.

– A co my robimy? – Jedyńka miał wyraźnie zdenerwowany głos. – Przecież nie będę ich przejeżdżał. Adam, włącz syrenę, może ich przestraszy...

– Albo wkurwi... – poleciało w eter i od razu można było usłyszeć niedowierzanie w głosie. – Kurwa, miałem właśnie gostka, który wymachiwał granatem. Jedyńka, uważaj, zostałeś tylko ty...

– Masz, kurwa, jakieś majaki...

– Kurwa, ten facet rzucił go pod Jedyńkę! Stefan, uważaj!

Wszystko dalej potoczyło się błyskawicznie, co mogli obserwować na ekranie monitora. Nagły oślepiający błysk w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą można było obserwować ostatni jadący pojazd w kolumnie i wszystko się zagotowało. Szczególnie w eterze, który od razu rozbrzmiał fajerwerkami krzyków, rozkazów i jazgotem strzałów.

– Atak! Zaatakowali Foksa Jeden!

– Co?!... Gdzie?!... Stój!... Kurwa!

Doszedł ich odgłos przytłumionego wybuchu, po czym ostre staccato z kałasznikowa.

– Załatwili go! – darł się gunner z Piątki, wciskając spust swojego kaemu, ale nie miał czasu wymierzyć, więc seria poszła górą. – Wrzucili mu granat pod pojazd! ... Kurwa, skąd tam tyle ludzi?!... Foks Jeden, odezwij się! Co z wami?!

– Tu Foks Dwa! Piąty i Czwarty, co widzicie?!

– Tu Piąty! Jedyńkę rzuciło do rowu, nikogo z naszych nie widzę! Coraz więcej tam ludzi, próbują dobiec do pojazdu! Strzelam na postrach...

– Tu Czwarty! Nic nie widzę, widok zasłania mi Piąty. Roman, wsteczny do dechy i wracamy tyłem do Jedyńki! Kurwa, to rozkaz! Gunner, jak zobaczysz jakiegoś szuszwola z bronią, rozwal skurwysyna, bo inaczej, będziesz miał ze mną do czynienia! Piąty, usuń się, kurwa, z drogi!

– Pieprz się! Idę na wstecznym do Jedyńki! Oblazła go kupa ludzi, chyba próbują ich wyciągnąć ze środka! Wasze niedoczekanie... – zamiast dalszych słów

słysząc było odgłos długiej serii. Po kolejnej chwili... usłyszeli następną, ale pochodzącą z innego pojazdu.

– Kogoś mają – wtrącił się porucznik Schwartz, pokazując na monitor. Rzeczywiście można było zauważyć, że grupa mężczyzn z bronią odskakuje od zatrzymanego pojazdu i ucieka w stronę zabudowań miasta, ciągnąc kogoś pomiędzy sobą. Kilku z nich zatrzymało się, jakby otrzymali polecenie zatrzymania pościgu i zaczęło strzelać w stronę zbliżających się pojazdów, starając się ochraniać uciekających i ściągnąć na siebie uwagę nadjeżdżających.

– To ktoś w mundurze... – zauważył jeden z oficerów wpatrzonych w ekran, który na szczęście pozwalał już rozpoznać więcej szczegółów. – A nawet dwóch... ciągną – dodał zmienionym głosem, spoglądając z niepokojem w stronę milczącego „nadpułkownika”. – Mam nadzieję, że to nie nasi.

Nim tamten zdążył odpowiedzieć, ponownie do głosu doszły rozmowy z głośnika.

– Mamy ich! Roman, kurwa, podjedź jak najbliżej do Jedyńki! Zespół do akcji! Ruchy! Ruchy! – darli się na przemian Foks Czwarty i Piąty. – Najważniejsze to wyciągnąć ich z pojazdu! Będzie potrzebny sanitariusz!... Wezwijcie śmigłowiec ratunkowy! Widzę kierowcę, jest na swoim miejscu!... Ktoś jest jeszcze w środku! Nie widać gunnera! Foks Cztery, zabezpieczaj teren! Wyjmujemy ich ze środka! Uważajcie, tam się coś kopci! Ruchy, ruchy!... Kurwa, ktoś do nas wali! Gunner! Śpisz, kurwa, czy co?! Ucisz gnoja, bo musimy wyciągnąć naszych ze środka!...

– Już, kurwa, walę! Musiałem zmienić taśmę! – słysząc było, jak puszcza długą serię.

– Nie miałeś, kurwa, kiedy?! – ktoś się pieklił na niego.

– Jakby to ode mnie, kurwa, zależało, to bym ją związał drutem... Skończyła się i musiałem zmienić! Czy to tak trudno zrozumieć?!

– Spokojnie – rozpoznali podekscytowany głos Foksa Dwa. – Podjeżdżamy do was, zaraz będziemy za wami!

Nagle w głośnikach zamilkły strzały, więc spojrzeli na siebie z niepokojem, ale na szczęście nadal było słychać wymianę informacji pomiędzy poszczególnymi zespołami.

– Wyjmują kierowcę... Żyje, ale jest nieźle poharatany. Gdzie jest, kurwa, medyk?! Zawsze jak jest potrzebny, to gdzieś znika! Odnieście go dalej!

– Nie pierdziel, medyk był w Dwójce. Już leci!... Widzę go!

– Jest Jedyńka!... I gunner!... Drzwi do środka były otwarte, ktoś próbował wyjąć zapasowe taśmy!... Kurwa, wyjmujcie ich, bo wszystko tu się pali! Odepnij gunnerowi pas! Nie ten! Kurwa, tnij go nożem, bo zaraz wszystko wyleci w powietrze!... No, nareszcie! A teraz spierdalamy jak najdalej od tego wraku!

– Żyją?! – padło konkretne pytanie Foksa Dwa.

– Żyją!... – ktoś zapewnił, ale niezbyt pewnym głosem. – Odejźmy dalej, bo tu zaraz pierdolnie! Panowie, tempo! Tempo!!... Nie chcecie, chyba żeby teraz nas sfajczyło?! Brać ich za fraki i spieprzamy, zanim wybuchnie bak z paliwem! Ruchy goście, ruchy!

– Panie pułkowniku, wezwałem już helikopter medyczny EMT – zameldował porucznik Schwartz, przerywając ciszę w pomieszczeniu operacyjnym. – Powinien tam być za kilka minut, ale uważam za sensowne, aby patrol przejechał kilka kilometrów dalej. W tej chwili są za blisko zabudowań, gdzie mogą się ukrywać terroryści z granatnikami RPG. Pilot w takiej sytuacji może odmówić podjęcia rannych, więc szkoda tracić czasu.

– Wiem, wiem! – zapewnił „nadpułkownik”, zastanawiając się nad czymś, co zapewne go zaniepokoiło, gdy obserwował obraz zarejestrowany przez kamery samolotu obserwacyjnego. – Trzeba się tym zająć...

– To co robimy? – zapytał wprost jego zastępca.

– Panie kapitanie, proszę się skontaktować z tym patrolem – jego wzrok skupił się na zastępcy. – Przekażcie im, odpowiednie ustalenia i niech podejmą stosowne kroki.

Nim major zdążył potwierdzić odbiór rozkazów, z głośników doszedł do nich głośny odgłos wybuchu, a na ekranie monitora, na który przekazywany był obraz z samolotu bezzałogowego, mogli zobaczyć, że to, co jeszcze kilka chwil wcześniej było pojazdem bojowym, teraz stało się kupą płonącego złomu.

– Niech nie próbują tego gasić – przekazał „nadpułkownik” i zwrócił się w stronę jednego z obecnych w pomieszczeniu oficerów. – Za minutę chcę mieć wszystko o tym patrolu. Kto, nim wyjechał, w jakim składzie, o której i jak to wszystko było zaplanowane. Zrozumiano?!

– Tak jest.

Przez całą minutę nie spuszczał wzroku z przekazu, jaki zapewniał samolocik i nie ukrywał, że robiło to na nim duże wrażenie. Nie tylko mógł obserwować, co się dzieje na danym obszarze, ale jeszcze mógł na bieżąco informować przebywających tam żołnierzy, czy wkoło jest bezpiecznie lub, z której strony powinni spodziewać się przeciwnika. Był tak tym podekscytowany, że od razu podjął decyzję, że po powrocie do kraju postara się wkręcić na szkolenie dotyczące samolotów bezzałogowych.

– Panie pułkowniku, wszystko przekazałem – zameldował mu po minucie zastępca. – Straty patrolu to jeden Honker i trzech ranni żołnierze, w tym dowódca patrolu... Ich stan jest ciężki, do tej pory żaden z nich nie odzyskał świadomości, ale medyk mówi, że powinno być dobrze. Przekazałem rozkaz, aby jak najszybciej załadowali rannych do pozostałych pojazdów i udali się na miejsce, skąd będą ewakuowani. Dwa kilometry dalej jest prosty odcinek drogi, więc tam powinno być bezpiecznie.

– Dobra robota – stwierdził bezosobowo „nadpułkownik”, skupiając całą uwagę na przekazywanym obrazie. Coś go trapiło, bo zwrócił się do porucznika Schwartza,

nie przejmując się tym, że właśnie ten kontaktował się z medycznym śmigłowcem. – Panie poruczniku, wspominał pan, że ten obraz jest przekazywany i nagrywany na komputer?

– Tak mówiłem – potwierdził zdziwiony porucznik.

– A można cofnąć nagranie, aby zobaczyć ten moment, kiedy terroryści odciągają dwa... ciała?

– Odniosłem wrażenie, że to nie były ciała – wtrącił się jego zastępca. – Można było dostrzec ruch kończynami i głową, jakby próbowali się bronić.

– Zgadzam się z kapitanem – potwierdził porucznik Schwartz. – Mogli zostać kontuzjowani lub ranni, ale żyli, gdy terroryści ich odciągali.

– Tego się właśnie obawiam – cicho szepnął do siebie „nadpułkownik”, dostrzegając zmierzającego do siebie oficera, któremu kazał dowiedzieć się wszystkiego o zaatakowanym patrolu. Wolał, żeby to czego się teraz dowie, nie było dostępne dla wszystkich, więc ruchem głowy rozkazał mu zachować milczenie i wskazał, żeby udał się do gabinetu oficera dyżurnego, który zapewniał pełną dyskrecję. Odczekał aż oficer zniknie za drzwiami i ruszył za nim, udając, że nie dostrzega zdziwionych spojrzeń innych oficerów.

– Co tam macie? – spytał krótko, gdy tylko zamknął za sobą drzwi.

– Stan plutonu, podział na pojazdy i plan działania – wyjaśnił szybko oficer, kładąc przed nim stosowne dokumenty, zastanawiając się, cóż innego mógł tam chcieć znaleźć „nadpułkownik”.

– No to zobaczmy... – podpułkownik pochylił się nad plikiem papierów.

Pierwszym dokumentem, jaki otworzył „nadpułkownik”, był pełny skład patrolu, który opuścił bazę Camp Echo. Od razu, kierowany przecuciem, spojrzął na koniec listy, aby zorientować się, ilu żołnierzy liczył patrol. Zaniepokoił się, gdy na końcu listy wymieniającej czterdzieści dwa nazwiska zobaczył dwa kolejne, dopisane długopisem. Był więcej niż pewny, że akurat te nie powinny się tam znaleźć, nawet

jeśli zgłosili się na wyjazd na ochotnika. Takie były ustalenia na poziomie sztabu Dywizji, ale tajemnicą poliszynela było, że część oficerów dołączała do wyjeżdżających w teren patroli, aby zyskiwać nie tylko odpowiedni wpis do akt personalnych, ale także otrzymać dodatek finansowy za udział w działaniach bojowych. Pełen najgorszych przeczuć od razu sięgnął po listę, gdzie dokładnie rozpisano, kto i w jakim pojeździe zajmuje przydzielone stanowisko.

– Kurwa! Tego mi jeszcze tylko brakowało! – zaklął głośno, gdy okazało się, że obaj byli przypisani do pojazdu Foks Jeden.

Potrzebował chwili do namysłu, zanim żwawo wyszedł z pomieszczenia i ignorując zaciekawione spojrzenia współpracowników, udał się do pokoju radiowców. Co gorsza, nie tylko zamknął za sobą drzwi, czego do tej pory nikt nigdy nie robił, ale także wyprosił z pomieszczenia przebywającego tam oficera, tłumacząc to sprawami wagi państwowej. Gdy wyproszony oficer wyszedł z pomieszczenia, wszyscy w pokoju operacyjnym zdali sobie sprawę, że stało się coś bardzo ważnego i złego. Zgodnie z instrukcją wydaną przez Dowództwo Dywizji, wszystkie sprawy, które w jakimś stopniu były niepomysłne dla oddziałów podległych Dywizji, powinny być natychmiast przekazywane do ich wiadomości, więc rozumieli, że „nadpułkownik” chce zachować jak największą dyskrecję. Z drugiej strony, najpierw powinien o tym powiadomić dowódcę Bazy, jako swego bezpośredniego przełożonego, ale wszyscy wiedzieli, że każdy tutaj chciał jak najwięcej ugrać dla siebie. Mogła być jeszcze trzecia możliwość, że zanim „nadpułkownik” zawiadomi dowódcę, chce jeszcze raz sprawdzić swoje podejrzenia, żeby niepotrzebnie nie czynić zamieszania. Spoglądali więc z obawą na zamknięte drzwi, zastanawiając się, czy ma to związek z wydarzeniami z Afak, które mogli oglądać na monitorze, ale chcąc się tego dowiedzieć musieli czekać aż „nadpułkownik” podzieli się z nimi ową informacją.

– Panowie, wszystko, co teraz usłyszycie, nie ma prawa wyjść poza to pomieszczenie – zagał na początek „nadpułkownik”, taksując wszystkich łącznościowców uważnym spojrzeniem.

– Panie pułkowniku, wszyscy, którzy są tu zatrudnieni, mają stosowne dopuszczenie do tajemnicy państwowej – zapewnił oficer odpowiedzialny za łączność, przyglądając mu się z uwagą i z rosnącym niepokojem. – Proszę się nie obawiać, że cokolwiek stąd wyjdzie.

– To dobrze, bo właśnie o tym chciałem mówić – zauważył „nadpułkownik”, którego ta informacja nie przekonała do końca. – Mamy łączność z dowódcą tego konwoju, który był w Afak?

– Z dowódcą nie – poinformował go łącznościowiec. – To był Foks Jeden, a jak pan pamięta, to ich pojazd został zniszczony...

– To, kto tam teraz dowodzi?! – zdenerwował się „nadpułkownik”, nie pozwalając mu dokończyć. – Chyba jest tam jakiś zastępca?!

– Foks Dwa... – wtrącił z grymasem jeden z obsługujących radiostację podoficerów. – Tylko, że teraz jest tam gorąco i nie wiem...

– Łączcie mnie z nim. Natychmiast! – rozkazał energicznie „nadpułkownik”. – On ma gówna do gadania. To ja tu wszystkim dowodzę!

– Oczywiście... – przyznał zbesztany operator, ale bez wyczuwalnego entuzjazmu w głosie. – Foks Dwa, zgłoś się... Tu baza Camp Echo. Foks Dwa, słyszysz mnie?!

Spojrzał na „nadpułkownika” z bezradną miną, jakby chciał powiedzieć, że od początku był pewny, że dowódca konwoju ma teraz ważniejsze sprawy niż rozmowa z oficerem dyżurnym w dalekiej bazie. Zdziwił się, gdy w głośniku padły zdenerwowane słowa:

– Dajcie mi, kurwa, spokój! Nie mam czasu, na pierdoły! Wiozę rannych na miejsce ewakuacji. Połączę się z wami jak tylko MEDEVAC ich zabierze.

– Tu oficer dyżurny bazy Camp Echo pułkownik... – jakiś zgrzyt fonii zagłuszył nazwisko „nadpułkownika”, ale nawet nie zwrócił na to uwagi. Ważne było, żeby od razu pokazać jakiemuś oficerowi z konwoju, z kim teraz ma zaszczyt rozmawiać i od razu przekazać, że nie jest kolegą, z którym może dyskutować. – Zwracam wam uwagę, że jesteście teraz dowódcą oddziału i jako taki, powinniście przestrzegać procedur. Nie po to zostały ustalone, aby teraz pod byle pretekstem od niej odchodzić. Słyszycie mnie?

– Sorry, panie podpułkowniku... – stopień wojskowy „nadpułkownika” został celowo powiedziany z odpowiednim przeciągnięciem, aby wszystkim było wiadomo, jaki dowódca patrolu ma stosunek do oficerów sztabowych, a do tego doskonale wie, z kim ma do czynienia i że tamten z jakiegoś powodu pozwolił sobie na jego zawyżenie. Poza tym takie bezczelne przypomnienie pułkownikowi, że nowy dowódca konwoju znał dokładnie stopień swojego rozmówcy oznaczało, że zdawał sobie sprawę ze stanowiska, jakie ten zajmuje w wojskowej hierarchii, ale się tym nie przejmuje. Jedyne, co mogło go usprawiedliwiać, to fakt, że w dalszym ciągu był wzburzony z powodu wydarzeń, w jakich kilka minut wcześniej uczestniczył i stratą swojego bezpośredniego przełożonego.

– Czy to wszystko, co macie mi do powiedzenia?! – zapytał z wściekłością w głosie „nadpułkownik”, gdy na chwilę zaległa cisza w eterze, choć niewyraźnie było słychać, jak tamten wydaje rozkazy swoim podwładnym.

– Przepraszam, panie pułkowniku, ale mam tu urwanie głowy – poprawił się tamten, dochodząc do wniosku, że może w pierwszym odruchu postąpił zbyt pochopnie. – Czym mogę panu służyć?

– Proszę zameldować o aktualnej sytuacji – rozkazał nadpułkownik”.

– Straciliśmy Honkera Foks Jeden – zameldował tamten z powagą. – Gdy wynieśliśmy naszych rannych z wnętrza, wybuchł bak z benzyną i nie było czego ratować. Ponieważ eksplodowała także amunicja którą przewoził, kazałem wrzucić

do środka kilka granatów termicznych, aby go całkiem rozwalić i rozkazałem się wycofać, tym bardziej, że z pobliskich zabudowań i zarośli zaczęto strzelać w naszym kierunku.

– Nie mogliście zabezpieczyć wraku? – spytał z irytacją „nadpułkownik”.

– Został poważnie uszkodzony, poza tym palił się... – można było wyczuć w głosie składającego meldunek zdenerwowanie, że musi się w tej chwili mówić o sprawach dla wszystkich oczywistych. – Musiałem przede wszystkim zadbać o stan rannych i bezpieczeństwo pozostałych żołnierzy. Tym bardziej, że punkt wyznaczony do ewakuacji jest oddalony o kilka kilometrów od miejsca, w którym doszło do incydentu. Stan rannych poważny, żaden z nich nie odzyskał przytomności, a nasze wysiłki koncentrują się na utrzymaniu ich przy życiu. Nie mogłem rozdzielać plutonu, bo w ten sposób osłabiałbym jego siłę, a dziesięciu czy dwudziestu ludzi w obcym mieście nie dałoby rady samodzielnie dotrzeć do rana, szczególnie przy skomasowanym ataku, czego nie można było wykluczyć. Czy takie wyjaśnienia zadowolają pana, pułkowniku?! Czy ma pan jeszcze jakieś ważne pytania?! – ostatnie słowa zapewne były niezbyt delikatnym zwróceniem uwagi, że mimo wszystko Foks Dwa wolałby skoncentrować się na swojej pracy. Nim jednak „nadpułkownik” zadał kolejne pytanie, szybko dodał. – Obiecuję, że gdy wrócę do bazy, złożę obszerne sprawozdanie i będę do pana dyspozycji.

– Jaki jest stan...

– Nie jestem lekarzem, nie jestem w stanie tego stwierdzić. – Foks Dwa nawet nie pozwolił dokończyć „nadpułkownikowi”, wchodząc mu w słowo. – Nasz medyk staje na uszach, aby dowieźć ich do MEDEC-u. Mamy jeszcze jakieś dwa, trzy kilometry, do wyznaczonego miejsca. Proszę mi wybaczyć, ale muszę...

– Dajcie mi pułkownika Jagodę – rozkazał „nadpułkownik”, przejmując inicjatywę i cicho komentując to w stronę przysłuchujących się radiowców. – Może

on będzie coś wiedział? A ten Foks Dwa, to niech raczej nie liczy na awans. Już ja się o to postaram...

– Pułkownika Jagodę? – zdziwił się Foks Dwa, po czym zapadła długa, wymowna cisza.

– Tak, pułkownika Jagodę! – powtórzył poirytowany „nadpułkownik”, nie mogąc znieść, że musi powtarzać tak proste polecenia.

– Tu go nie ma – padła odpowiedź po kolejnej wymownej długiej chwili ciszy.

– To może z kapitanem Kwidzyńskim! – zdenerwował się „nadpułkownik”.

– Też go nie ma – zapewnił z wyczuwalną złością w głosie Foks Dwa, choć chwilę to trwało, bo musiał skonsultować się ze swoimi podwładnymi. – Nie wiem, o co chodzi, panie pułkowniku, ale żadnego wymienionego przez pana oficera nie ma w tej chwili wśród moich ludzi.

– Byli w pojeździe Foks Jeden – wyrwało się z ust „nadpułkownika”.

– Bardzo mi przykro, ale ja nie wiem, kto jechał z dowódcą – wyjaśnił nerwowo nowy dowódca konwoju. – Każdy z nas miał swoje zadanie i pilnował swojej załogi oraz obowiązków, za które był... i jest odpowiedzialny – zaznaczył z naciskiem, poprawiając się.

– Co chcecie przez to powiedzieć?

– Że czasami dołączają się do nas pewni oficerowie na przylepkę, ale starają się, aby ich obecność nie przeszkadzała nam w naszych obowiązkach – zaznaczył dobitnie słowa „przylepka” i „nam”, aby wiedzieli, co o tym myśli. – Bardzo mi przykro, ale w tej chwili nie mogę potwierdzić ich obecności. W każdym razie z wozu Foks Jeden wyciągnęliśmy wszystkich, którzy tam byli... A teraz proszę mi wybaczyć, widzę już światła lecącego MEDEVACa... Wyłączam się, bez odbioru.

Gdyby przekleństwa wypowiedziane przez wyższych oficerów mogły zabić, to słowo wypowiedziane przez „nadpułkownika” chwilę później można by było wykorzystać jako nową broń wobec przeciwników, ale póki co nie było takiej

możliwości. Podpułkownik przez chwilę stał niespokojnie, zastanawiając się, co powinien w takiej sytuacji zrobić, po czym stwierdził, że wszystko musi jeszcze drugi raz dokładnie sprawdzić.

– Dawajcie tu tego Schwartza od lotnictwa – zażądał od oficera łączności. – Tylko migiem! I zamykajcie za sobą drzwi! – upomniął.

– Podobno przestawiamy się teraz na F szesnaście, a w każdym razie planujemy coś takiego zrobić. Migi to już przeszłość – szepnął cicho jeden z łącznościowców, ale od razu zamilkł skarcony wściekłym spojrzeniem „nadpułkownika”.

– Czy możecie, poruczniku, odtworzyć przekaz cyfrowy z samolotu? – zażądał „nadpułkownik”, gdy tylko porucznik Schwartz przekroczył próg pomieszczenia. – Szczególnie chodzi o ten moment, gdy nasz pojazd został obrzucony granatami i zaatakowany przez arabusów.

– Oczywiście, pułkowniku, wszystko jest zapisane w pamięci komputera i w każdej chwili można to odtworzyć. Ale proponuję przejść na ogólną salę, tam jest większy monitor... – zaproponował, robiąc krok w stronę drzwi.

– Nie, nie – zaprzeczył gwałtownie „nadpułkownik”, wskazując dłonią na stojący laptop. – Chcę się tylko upewnić, poza tym nie chcę robić niepotrzebnego zamieszania... Z tego, co wiem, ten komputer jest podłączony do sieci

– Skoro tak... – porucznik Schwartz bez dalszej dyskusji zajął miejsce przy wskazanym sprzęcie i zaczął nad nim pracować. Pół minuty później puścił nagranie przekazane przez samolot bezzałogowy, mając za swoimi plecami zdenerwowanego „nadpułkownika”, który z uwagą przyglądał się przekazywanym obrazom, sapiąc przy okazji porucznikowi wprost do ucha.

– Można to zatrzymać? – upewnił się, kiedy doszli do sceny, gdy pod wpływem ostrzału powracającego Honkera grupa Irakijczyków wycofywała się w popłochu, unosząc z sobą dwie postacie w wojskowych mundurach.

– Można, ale wiele nam to nie pomoże – wyjaśnił porucznik Schwartz, wykonując jego prośbę. – Mogę nawet to powiększyć, ale niestety zabrakło dwóch minut, abyśmy mogli dokładnie i bez kłopotów wszystko obserwować. Na czym mam się skoncentrować? Na twarzach napastników?

– Szuszwale mnie nie interesują – pospieszył z zapewnieniem „nadpułkownik”, pochylając się nad monitorem i zasłaniając go jednocześnie przed wzrokiem pozostałych osób w pomieszczeniu. Jakby tego było mało, ściszył głos i wskazał palcem na sylwetki obu mężczyzn w mundurach, szepcząc wprost do jego ucha. – Muszę wiedzieć, czy to mogą być nasi żołnierze. Wiem, że moje żądanie wydaje się panu dziwne, poruczniku, ale wszyscy wiemy, że arabusy w większości chodzą w tych swoich workach, a nie w mundurach, więc... – zamilkł, dając mu szansę, aby sam doszedł do właściwego wniosku.

– To nic nie znaczy – stwierdził porucznik Schwartz, skupiając się na tym, co miał do wykonania. – Równie dobrze w mundurach mogą być iraccy policjanci.

– W nocy? – zdziwił się „nadpułkownik”, zerkając podejrzliwie, czy nikt ich nie podsłuchuje. – Obaj wiemy, że po zapadnięciu zmroku policjanci barykadują się na swoim posterunku i wychodzą dopiero rano, gdy jest w miarę bezpiecznie. Nikt z nich nie ma na czole wypisane, kto jest tam wtyczką terrorystów, a kto prawdziwym patriotą, więc wolą nie ryzykować, że ktoś z sąsiadów ich odstrzeli. A to co? – spytał wskazując palcem na szczegół, który niespodziewanie zwrócił jego uwagę.

– To? – upewnił się porucznik Schwartz, skupiając uwagę na powiększeniu interesującego „nadpułkownika” obrazu. – No, sam nie wiem. Obraz ma za dużo pikseli, aby można było go dokładnie pokazać – odezwał się po minucie swoich wysiłków. – Mogę tylko stwierdzić, że to jest naszywka na mundurze... w dwóch kolorach... Jeden, ten wyżej... jest chyba jasny, a drugi... ciemniejszy...

– Tego się właśnie obawiałem – stwierdził z rezygnacją „nadpułkownik”, siadając na pobliskim krześle i cicho szepcząc do siebie. – Białoczerwona... kurde...

– Nie mogę tego potwierdzić – zapewnił porucznik Schwartz ze swego miejsca.
– Samolot był za daleko, abyśmy mogli to stwierdzić w stu procentach, panie pułkowniku.

– A może śledzić, co się z nimi dalej działo? – zainteresował się nagle „nadpułkownik”. – Gdzie się wycofali i schowali?

– Możemy spróbować, ale od razu chcę wyjaśnić, że operatora bardziej interesowały wypadki, dziejące się na drodze, dlatego nie podążał za uciekającymi ludźmi. Ale spróbuję zrobić wszystko, co w mojej mocy – zapewnił porucznik Schwartz.

Przez kolejny kwadrans próbowali dojść, co się stało z dwoma mężczyznami w mundurach, co, jak się okazało, wcale nie było łatwe, bo uciekający schowali się w pobliskim domu. Później można było zauważyć, jak grupa mężczyzn przemieszcza się w stronę okolicznych nieużytków, a następnie przebiega lokalną drogę prowadzącą na Bagdad. Dalej nie było możliwości cokolwiek zobaczyć, bo operator skierował samolot w stronę walczących żołnierzy.

– Tam... jakieś pięć kilometrów dalej... No, może trochę więcej, jest duże jezioro – poinformował nie proszony o to oficer łączności. – Byłem tam kiedyś, jak jechaliśmy do Camp Delta, więc z ciekawości skręciliśmy, aby to zobaczyć. Wbrew pozorom i temu, co nam się wydawało, tam nie ma wyłącznie pustyni, ale jest sporo zarośniętego i trudno dostępnego terenu. Jeśli uciekinierzy tam dotrą, to będziemy mogli ich szukać jak igły w stosu siana.

– Sądzę, że teraz już ich nie znajdziemy. Nie mamy żadnych szans – stwierdził z rezygnacją w głosie porucznik Schwartz, a widząc wpatzonego w siebie „nadpułkownika” wyjaśnił: – To jest mały oddział i już kilka razy traciliśmy go z pola widzenia, więc trudno będzie go teraz zlokalizować. Poza tym, nawet jeśli ich znajdziemy, to nie będziemy mieć żadnej pewności, że to ci sami ludzie. Cholera! – zaklął ze złością. – Gdyby nie te dwie minuty, wszystko byłoby prostsze.

– Poruczniku, dziękuję panu za pomoc – „nadpułkownik” spojrzał wymownie w stronę drzwi, co może nie było zbyt ładne, ale za to informowało bezbłędnie, co chce przez to przekazać. – Więcej nam pan nie pomoże, a muszę porozmawiać ze swoim dowództwem i sam pan rozumie... – nie dokończył swej myśli, co zresztą nie było potrzebne, bo porucznik Schwartz był więcej niż inteligentny i domyślny.

– Rozumiem, panie pułkowniku – zapewnił, ruszając w stronę drzwi. – Na pana miejscu także nie chciałbym, aby ktoś był świadkiem moich rozmów z przełożonymi... Szczególnie, gdy muszą wysłuchać niezbyt pomyślnych wiadomości... – dodał cicho, już po zamknięciu drzwi. Wyczuwając na sobie zaciekawione spojrzenia żołnierzy zgromadzonych w pokoju, wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że nie czuje się upoważniony, by przekazać im cokolwiek na temat tego, co działo się w pokoju łącznościowców.

– Łączyć ze sztabem Dywizji? – upewnił się oficer odpowiedzialny za łączność, wiedząc, że jeśli jego przypuszczenia i obawy „nadpułkownika” są zbieżne, to zgodnie z opracowanym regulaminem, muszą natychmiast o swoich podejrzeniach zameldować odpowiedzialnemu oficerowi ze sztabu Wielonarodowościowej Dywizji „Południe”.

– Moment – wstrzymał go „nadpułkownik”, zastanawiając się nad swoim dalszym ruchem. Wiedział, że to, co teraz nastąpi, będzie miało długotrwałe skutki i równie dobrze może zniszczyć jego dalszą karierę wojskową, jak i popchnąć ją do góry. Musiał więc postąpić profesjonalnie i z wyczuciem... Po pierwsze, nie mógł dopuścić, aby ta wiadomość rozniosła się w mediach, a to oznaczało, że nie może jej przekazać, byle oficerowi dyżurnemu, który zgłosi się w sztabie Dywizji. Dobrze, jeśli tym oficerem będzie rodak, on zrozumie delikatność informacji i nie pozwoli, by wyciekła dalej. Jeśli trafi na Hiszpana, Łotysza, Ukraińca lub jeszcze kogoś innego, to już nie będzie to takie wesołe, bo im nie musi zależeć na utrzymaniu całej sprawy w tajemnicy. Zresztą on sam słysząc taką informację na pewno powiadomiłby

swojego narodowościowego dowódcę o kłopotach sprzymierzeńców, więc musiał założyć, że dokładnie w ten sam sposób postąpi oficer dyżurny... Jeden podsłuchany telefon lub nieopatrzenie rzucona uwaga i tajemnica przestaje nią być, a tego pragnął teraz najmniej. Tylko jedno przychodziło mu do głowy: zadzwonić najpierw tam, gdzie zrozumieją doniosłość przekazywanej przez niego informacji i docenią fakt, że był na tyle przewidujący, żeby od razu ich poinformować. Później będzie mógł się już połączyć z dowódcą bazy Camp Echo i zrzucić na niego obowiązek powiadomienia o sytuacji oficera dyżurnego i dowódcy Dywizji „Południe”. Jakby coś przeciekło na tym poziomie, on będzie kryty.

– Łączcie mnie z Warszawą, z oficerem dyżurnym ministra... – rozkazał zdecydowanym głosem, postanawiając zagrać kartami, jakie akurat miał w ręku. – I nagrywajcie rozmowę do celów służbowych...

Spojrzenia łącznościowców wyrażały zdziwienie usłyszanym rozkazem, ale nikt nie miał zamiaru z nim dyskutować. Wyższy oficer wydał rozkaz, podwładny go wykonuje, tym bardziej, że ma świadków, którzy to wszystko mogą potwierdzić. Dyżurny w Warszawie zgłosił się dopiero po trzecim sygnale i sądząc po jego zaspanym głosie, nie całkiem był skupiony na swojej służbie.

– Tu podpułkownik Dąbrowski, oficer dyżurny w Camp Echo. Irak... – przedstawił się „nadpułkownik”. – Muszę pilnie rozmawiać z panem ministrem... Sprawa najwyższej wagi państwowej...

Widocznie nie był zadowolony z odpowiedzi, jaką usłyszał, bo przykrył słuchawkę dłonią i wskazał, by puścić rozmowę na głośnik, tak, by wszystkie osoby mogły później być świadkami tego, co usłyszał.

– Rozumiem, że pan minister jest zajęty, ale już informowałem, że to sprawa najwyższej wagi państwowej i lepiej będzie dla pana, jeśli mnie pan z nim szybko połączy.

– Ale, o co chodzi? – wszyscy usłyszeli niezadowolony głos dobiegający z głośnika. – Wie pan, która jest teraz godzina?

– To akurat nie ma żadnego znaczenia – wszedł mu w słowo „nadpułkownik”, podnosząc znacząco głos. – My tu jesteśmy na wojnie i gdyby nie zaistniała potrzeba, to bym panu ministrowi głowy bez powodu nie zawracał! Ma pan do wyboru albo mnie z nim błyskawicznie połączy, albo daję panu słowo, że jutro stawi się pan w jednostce w Orzyszu i do końca służby będzie pan liczył w magazynie zużyte gacie! Proszę więc szybko decydować, bo za sekundę odkładam telefon i dzwonię do szefa sztabu generalnego, a wtedy nikt panu tyłka nie uratuje.

– Zrobię to, ale na pana odpowiedzialność. Proszę czekać... – poddał się tamten, nie ukrywając, że wpływ na to miała groźba jaką usłyszał. Przez kilka minut panowała po drugiej stronie wymowna cisza, co mogło oznaczać, że próbuje wytłumaczyć swojemu szefowi, dlaczego postąpił wbrew instrukcji. Wreszcie odezwał się: – Panie pułkowniku, łączę z panem ministrem.

– Słucham, co tam się dzieje? – rozpoznali podenerwowany głos ministra.

– Panie ministrze, bardzo mi przykro, że panu przeszkadzam, ale stwierdziłem, że znajdujemy się w sytuacji kryzysowej i powinien się pan o niej dowiedzieć bezpośrednio ode mnie... i jako pierwszy – zaznaczył „nadpułkownik”, mimowolnie stając na baczność.

– Rozumiem i mam nadzieję, że jest jakiś racjonalny powód takiego działania z pańskiej strony – zabrzmiało to, jak delikatne upomnienie z możliwymi późniejszymi konsekwencjami natury służbowej.

– Niestety, jest to uzasadnione... – „nadpułkownik” stwierdził, że to, co ma do powiedzenia, musi być bardziej jednoznaczne, więc szybko dokonał zmiany swojego meldunku. – Mamy pewność, że iraccy terroryści zdołali porwać dwóch naszych oficerów wracających w konwoju z Al Kut.

– O kurwa! Tego mi jeszcze brakowało... – doleciał do nich z głośnika głos ministra, ale „nadpułkownik” doszedł do wniosku, że najlepiej zrobi, jak spokojnie dokończy swój meldunek, nie czekając aż minister mu o tym przypomni. Dlatego nie przerwał, tylko jak automat przekazywał swój meldunek.

– Pół godziny temu doszło do ataku na nasz konwój w miejscowości Afak. Zniszczeniu uległ jeden z naszych pojazdów, a trzech ochraniających go żołnierzy zostało rannych i w ciężkim stanie zostali przewiezieni helikopterem MEDEVAC do szpitala wojskowego w Bagdadzie, gdzie lekarze walczą o utrzymanie ich przy życiu. Na nagraniach uzyskanych poprzez rejestrację całego ataku przez kamery z samolotu bezzałogowego widać, jak terroryści atakują nasz pojazd i wyciągają z niego dwóch naszych oficerów. Mimo natychmiastowej akcji pozostałych członków konwoju, terroryści zdołali zbiec do pobliskich budynków i ukryć się pomiędzy zabudowaniami. Teren określam jako nieprzychylny i bardzo trudny do działania, tym bardziej, że najpierw musieliśmy zadbać o życie naszych rannych, przez co przeciwnik miał wystarczająco dużo czasu na przeniesienie naszych porwanych oficerów do innej kryjówki. W tej chwili kierujemy w tamten rejon większość naszych sił, ale akcja będzie utrudniona zarówno ze względu na panującą noc, jak i niebezpieczeństwo, że w wyniku zagrożenia terroryści mogą zabić naszych oficerów, a do tego nie chcielibyśmy dopuścić. Postanowiłem, że muszę pana poinformować osobiście o zaistniałej sytuacji, bo nie chciałem, aby był pan zaskoczony, gdy informacja o tym w jakiś sposób przeniknie do mediów.

– Czyli, póki co, nikt o tym nie wie? – upewnił się minister.

– Zgłosiłem ten fakt tylko memu dowódcy i od razu postanowiłem powiadomić pana ministra, jako mojego przełożonego – pospieszył z zapewnieniem „nadpułkownik”. – Ale mogę zapewnić, że terroryści nagłośnią ten fakt medialnie, co w dzisiejszych czasach nie sprawia żadnych problemów technicznych. Jeżeli mogę się podzielić swoimi uwagami, to uważam, że należy spodziewać się, że niedługo

wystąpią z żądaniem wycofania naszych wojsk z Iraku pod groźbą wykonania wyroków śmierci na naszych porwanych oficerach. Wtedy nasz rząd i pan osobiście, znajdzie się w bardzo trudnej sytuacji... Dlatego właśnie pozwoliłem sobie do pana zadzwonić i osobiście przedstawić całą sprawę, panie ministrze, bo to jest sytuacja w najwyższym stopniu kryzysowa.

– No tak. Postąpiliście prawidłowo, panie... – minister zawiesił głos, dając mu możliwość przypomnienia swoich danych.

– Podpułkownik Jaromir Dąbrowski, panie ministrze – pospieszył z odpowiedzią pewny, że teraz minister zapamięta jego nazwisko.

– Cieszę się, że mogę na pana liczyć, panie pułkowniku. Proszę być w kontakcie z moimi służbami, a ja już osobiście zajmę się tym wszystkim – zapewnił minister, któremu na pewno wszystkie inne sprawy tego dnia przestały się wydawać ważne. – Natychmiast ogłaszam stan kryzysowy i mam nadzieję, że mogę na pana liczyć, jeśli będę potrzebował jakichś dodatkowych informacji. Póki co proszę, aby o zaistniałej sytuacji wiedziało jak najmniej osób. Być może terroryści będą to chcieli załatwić nieoficjalnie. Nasze służby na pewno mają jakieś kontakty w Iraku i postaram się, aby jak najszybciej przystąpili do pracy. Z drugiej strony, musimy spróbować ich odnaleźć i odbić we własnym zakresie. Rozumie pan, co chcę powiedzieć?

– Tak jest, panie ministrze – zapewnił szybko, ale coś mu się nie zgadzało, bo postanowił się upewnić. – Chce pan powiedzieć, że nasze służby zaczną nieoficjalne negocjacje z porwaczami? Myślałem, że nie prowadzimy...

– A czy ja mówiłem o tym oficjalnie? – przerwał mu natychmiast minister. – Nikt z nimi nie rozmawia, ale na wszelki wypadek trzeba sprawdzić, czy są skłonni do rozmów. Czy wyraziłem się ściśle?

– Oczywiście, panie ministrze – zapewnił „nadpułkownik”, czując się jak zwycięzca. I nie obchodziły go zdziwione spojrzenia przysłuchujących się rozmowie łącznościowców, gdy opowiadał o podjętych działaniach, które póki co nie zostały

jeszcze zapoczątkowane. – Już powołałem sztab kryzysowy i wyznaczyłem główne zadania, ale może być pan pewny, że nie zrobimy nic, co mogłoby zaszkodzić naszym porwanym kolegom. I będziemy w bezpośredniej łączności z Warszawą.

– A... kto został porwany? – zainteresował się w końcu minister. – Zna pan ich nazwiska? To ktoś zna... z naszego kierownictwa? – gładko wybrnął z niezręcznej sytuacji.

– Podpułkownik Jagoda, zastępca dowódcy bazy Camp Echo i jego oficer, kapitan Kwidzyński, panie ministrze.

– Zadbajcie o to, aby nic z tego nie wyciekło do mediów, pułkowniku. Jesteście, za to osobiście odpowiedzialni!

– Tak jest, panie ministrze! – zapewnił „nadpułkownik”, pokazując wszystkim szeroki uśmiech zadowolenia. – A teraz, jeśli pan pozwoli, wrócę do swoich obowiązków.

– Tak, tak... Ale bądźmy w kontakcie... – zabrzmiało po drugiej stronie i minister odłożył słuchawkę.

– Łączcie mnie z dowódcą bazy – rozkazał zadowolony „nadpułkownik” i od razu dodał: – I ogłóście alarm dla wszystkich oddziałów, które są w naszej dyspozycji. Musimy wysłać silną grupę do Afak i postarać się jeszcze coś na tym ugrać. I przypominam, że wszystkich obowiązuje tajemnica służbowa! Jak się dowiem, że ktoś puścił parę z gęby, to będzie miał ze mną do czynienia! Tu, kurwa, chodzi o życie naszych kolegów i przyjaciół!

Rozdział drugi.

Plutonowy Grzegorz Zerbalski, zwany przez wszystkich znajomych Zorgi, w młodości nawet przez chwilę nie spodziewał się, że właśnie z wojskiem zwiąże swoje dalsze plany na życie. Od dziecka był przyzwyczajony, że nic nie ma za darmo i na

wszystko trzeba zapracować, co prawda nie zawsze uczciwą pracą, ale na pewno sprytem i pomysłu, a tego mu nigdy nie brakowało. Podczas odbywania służby zasadniczej odkrył, że równie dobrze będzie mógł wykorzystać swój dar, zostając w wojsku jako żołnierz zawodowy, zamiast szukać pracy poza murami jednostki. Poza tym, pozostając w wojsku nie musiał się martwić o nudę i schematyczność dalszego życia, a tego, jak dobrze wiedział, nie znosił bardziej niż pustego portfela. W wojsku – nawet w jego jednostce – zawsze coś się działo, więc wystarczyło tylko trochę inwencji, żeby nie tylko czas prędzej płynął, ale także okazje na dodatkowy zarobek same pchały się w ręce. Dodatkowym plusem pozostania w wojsku była świadomość, że do uzyskania emerytury musiał odsłużyć piętnaście lat, a nie do sześćdziesiątego piątego roku życia, jak to bywało w cywilnych zakładach pracy. Po uzyskaniu wojskowej emerytury, mając zabezpieczoną przyszłość, mógł zająć się tym co najbardziej lubił, czyli wędkowaniem i kręceniem jakiegoś małego interesu przy każdej nadarzającej się okazji. Nie chodzi o to, żeby kiedykolwiek wyciągał rękę po rzeczy, które do niego nie należały, co to, to nie. Nie znosił złodziejstwa i kombinowania kosztem innych, ale już bez żadnych wyrzutów sumienia mógł zaopiekować się mieniem pozostawionym nieopatrznie przez kogoś innego, tam gdzie nie powinno to się zdarzyć. Nie planował żadnej kariery w wojsku, chciał po prostu spokojnie i w miarę niezauważenie wysłużyć swoje lata do emerytury oraz wykorzystać nadarzającą się okazję do poprawienia swojego statusu majątkowego. Zawsze więc, gdy słyszał z ust swoich przełożonych propozycję większego zaangażowania się w wykonywanie obowiązków lub podniesienie swoich umiejętności, na co musiałby przeznaczyć więcej swojego wolnego czasu, nieodmiennie padało z jego ust pytanie:

– A co ja z tego będę miał?

Gdy przełożeni mieli kłopoty ze zrozumieniem co ma na myśli, wyjaśniał bez zażenowania, pocierając wymownie kciukiem o palec wskazujący.

– Wie pan, mam rodzinę na utrzymaniu, a to kosztuje i muszę na nich zarobić.

Gdy i to do nich nie docierało, informował z grymasem na ustach:

– Nie wiem czy pan zdaje sobie sprawę, że za darmo to w życiu tylko ptaki śpiewają, choć nie jestem pewien czy nie fałszują. Moje ucho nie jest w stanie tego wychwycić, gdyż nie mam żadnego muzycznego wykształcenia. Swój rozum jednak mam i dobrze wiem, że w życiu za wszystko trzeba płacić...

Tak naprawdę to było credo, które oddawało cały jego charakter. Był skłonny do wzmożonej pracy i pomocy, ale w zamian czegoś oczekiwał... i nie ukrywał, że ma na myśli zwiększone świadczenia pieniężne, bo skoro miał więcej dawać od siebie, powinien także więcej w zamian otrzymywać. Szybko więc wszyscy wkoło wiedzieli, że zawsze można liczyć na niego, pod warunkiem że w zamian coś otrzyma. Dlatego też już podczas zasadniczej służby przyłgnęła do niego ksywa „Zorgi”, jako osoba która jest łasa na wszelkiego rodzaju dodatkowe korzyści.

Tak naprawdę, to nikt, łącznie z nim samym, nie spodziewał się, że kiedykolwiek wyjedzie na misję wojskową. Teoretycznie rzecz biorąc jego przydział służbowy, specjalizacja i służba w tzw. zielonym garnizonie, czyli jednostce zabezpieczenia materiałowego zagubionej na głębokiej prowincji, nie dawała takiej szansy. W jednostce tej przez większą część roku nic się nie działo, znana była głównie z tego, że często zsyłani do niej wojskowi do końca służby trwali na tych samych stanowiskach, awansując wyłącznie wtedy gdy ich poprzednicy przechodzili na emeryturę. W jego przypadku zadziałał zbieg okoliczności, bo akurat zastępował na dyżurze kolegę z kancelarii, oczywiście nie bezinteresownie, gdy na jego biurko trafiło pismo, że okręg wojskowy, pod który podlega, szuka ochotników na wyjazd misyjny do Iraku, co gwarantuje zwiększone wynagrodzenie. W pierwszej chwili po zarejestrowaniu otrzymanego pisma odłożył je odruchowo do stosownej teczki, gdy zaintrygowało go użyte stwierdzenie „zwiększone wynagrodzenie”. Wyjął, więc pismo i z uwagą zaczął je studiować. Tydzień później wiedział już wszystko, co go

interesowało, więc bez konsultacji z rodziną – która zapewne zgłosiłaby veto, zgłosił się bezpośrednio do dowódcy jednostki z odpowiednio wypełnionym wnioskiem, czym wywołał swoisty szok wśród kadry. W taki to właśnie sposób jako pierwszy ze swojej jednostki trafił na szkolenie, a później do Iraku do konkretnego plutonu, w którym miał odsłużyć sześć miesięcy misji. Na swoje nieszczęście jego stare nawyki dały o sobie znać, więc nie potrzebował wiele czasu aby odkryć, jak wiele rzeczy niepotrzebnie się marnuje, choćby na złomowiskach, a tymczasem przy odpowiednim wykorzystaniu mogłoby dalej służyć jemu i jego nowym kumplom z plutonu, skoro inni uznali, że można je wykreślić z ewidencji. Niestety, zarówno amerykańska MP jak i jego bezpośredni dowódca plutonu, mieli zupełnie inne zdanie dotyczące wykorzystania części ze złomowiska. Z tego powodu już na początku swojej dodatkowej działalności został postawiony przed oblicze dowódcy bazy pod zarzutem samowolnego przywłaszczenia elementów rozbitego amerykańskiego HMMWV, które bez zezwolenia próbował wykorzystać do zabezpieczenia Honkera, którym jeździł. Ten dał mu dwie możliwości do wyboru. Pierwszą – powrót do kraju z odpowiednim wpisem do akt, co mogło się skończyć wypowiedzeniem umowy o służbę wojskową, przy pierwszej nadarzającej się okazji. Drugą, dokończenie misji w organizowanym właśnie plutonie rotacyjno-dyspozycyjnym, co do którego od razu było wiadomo, że będzie otrzymywał najgorsze i najbardziej niebezpieczne zadania do wykonania. Mimo wszystko było to lepsze od powrotu w niesławie do kraju, więc pełen najgorszych przeczuć zdecydował się na pozostanie na misji. Pierwsze dni w nowym plutonie były ciężkie, ale szybko się przekonał, że trafił tam, gdzie wszyscy myśleli w podobny do niego sposób i nie udawali bardziej świętych niż byli. Nie tylko zgadzali się z nim, że jeśli coś można wykorzystać dla ich wygody lub bezpieczeństwa, to bezwzględnie trzeba z tego skorzystać, ale też nauczonym doświadczeniem uważali, że należy to zrobić po pierwsze – szybko, po drugie – cicho, a po trzecie – w taki sposób, by nikt ich przy tym nie złapał.

Dlatego zadania jakie otrzymał podczas tego wyjazdu, nie uważał za dobry sposób spędzania czasu. Bo czy chodzenie za kapitanem Młodszym z radiostacją na plecach i nie odstępowanie go ani na minutę mogło mu się podobać? Nie dość, że był cały czas na widoku, to jeszcze nawet gdyby zauważył coś wartego jego zainteresowania, to nie mógł nic zrobić, bo z góry było wiadomo, że dowódca nie pozwoli mu na żaden lewy interes. Dobrze chociaż, że akurat tej nocy na blokadzie mostu nie działo się nic podejrzanego i mógł odpocząć, siedząc w jednym miejscu. Poza tym, póki nikt do nich nie strzelał, nie musiał biegać za swoim dowódcą i narażać się bez powodu, utrzymując łączność pomiędzy poszczególnymi oddziałami. Dopiero gdzieś około północy cicha dotąd radiostacja ożywiła się i mogli przysłuchiwać się zwiększonej ilości padających z niej rozkazów i ponagleń. Dowodziło to, że w dystrykcie będącym pod opieką polskiego kontyngentu wojskowego nie było tak spokojnie, jak u nich na blokadzie i któryś z oddziałów miał poważne kłopoty. Bez straty czasu zameldował o tym kapitanowi Młodszemu, który z uwagą przysłuchiwał się nasłuchowi, po czym w trybie nagłym kazał ściągnąć do siebie sierżantów Gecco i Drwała oraz szefa od moździerzy. Następnie pozwolił mu odejść na kilka minut, aby – jak to określił – mógł załatwić swoje potrzeby. Uśmiechnął się tylko, bo doskonale wiedział, że chcą zostać przez kilka minut sami, więc postanowił odwiedzić pozostałych kolegów z drużyny.

– Coś się, kurwa, stało – stwierdził z poważną miną, zjawiając się pod mostem, gdzie odpoczywała reszta drużyny. Obrzucił przy tym wszystkich uważnym spojrzeniem, jakby oczekiwał od nich dociekliwych pytań, na jakiej podstawie doszedł do takich przypuszczeń.

Tamci spojrzeli po sobie, ale żaden nie był na tyle zdeterminowany, by zadać narzucające się pytanie. Szeregowy Leńczyk, po którym można się było spodziewać, że jak zwykle pierwszy się wyrwie z jednym ze swoich głupich pytań, jako jedyny z

całego towarzystwa spał w najlepsze skulony na piasku. Nie dość że spał, to jeszcze lekko pochrapywał, choć oficjalnie był jak reszta drużyny w rezerwie, co oznaczało, że powinien czuwać. Można było co najwyżej pozwolić sobie na lekką drzemkę i to z otwartymi powiekami, aby nikt nie przypuszczał, że jest inaczej.

– A ten, kurwa, co? – zdziwił się kapral Zorgi, zawieszając zgorszone spojrzenie na śpiącym. – Co mu się, kurwa, wydaje, że gdzie on jest? Przyjechał do cioci na wypoczynek, że komara ściga?

– Ja tam nie wiem – stwierdził spokojnie Wilk, rozkładając ręce i spoglądając z uśmiechem na śpiącego kolegę. – Jeszcze chwilę przed twoim przyjściem miał otwarte... choć zmęczone oczy – zaznaczył żartobliwie.

– Obudź go, kurwa! – rozkazał nerwowo Zorgi, zaciskając w złości zęby. – Brakuje jeszcze aby Gecco go przyuważył i przejedzie się po nas jak po starej kobyle.

– Ja tam spać mu nie kazałem, to i budzić nie będę – poinformował spokojnie Wilk, odsuwając się od niego. Zauważył przy tym zdziwione spojrzenie Zorgiego, więc dodał wyjaśniająco. – Bez urazy, Zorgi, sam wiesz, że lepiej go nie budzić, jak wpadł w swój trans. Za minutę – dwie, samo mu przejdzie, więc, po co się narażać. Nie żebym się bał, ale jak się go wyrywa ze snu, to bywa agresywny. Kopie i macha rękami, a wtedy można dostać po pysku i nawet nie bardzo jest o co się denerwować. Takie śpiuny już tak mają lepiej odczekać aż im to, samo minie – doradził poważnym tonem.

– Kurwa, pogięło was! – warknął kapral Zorgi, obrzucając ich uważnym spojrzeniem, a widząc, że żaden się nie spieszy z wykonaniem jego prośby, postanowił sam pokazać jak to powinno wyglądać. – Pogadamy w bazie... – oznajmił złowrogo pozostałym, po czym zdecydowanie zrobił krok w stronę śpiącego i wymierzył mu silnego kopniaka, który miał dotrzeć do wypiętego szlachetnego miejsca szeregowego Leńczyka.

Miał, bo zanim dotarł, śpiący jakimś cudem wyczuł niebezpieczeństwo i przetoczył się na drugą stronę, więc cała siła kopnięcia poszła w powietrze, co poskutkowało tym, że Zorgi stracił równowagę. Nim ją odzyskał, szeregowy Leńczyk klęczał na jednym kolanie z bronią wymierzoną w jego stronę.

– Kurwa... – jęknął Zorgi, spoglądając w czarny otwór lufy broni trzymanej przez Leńczyka. Znał go już na tyle dobrze, że wiedział iż tamten w przestrachu równie dobrze może nacisnąć spust nie otworzywszy wcześniej powiek.

– A ja... Rover... Bardzo mi przyjemnie – usłyszał w odpowiedzi spokojny głos szeregowego Leńczyka, co dowodziło, że ten wcale nie spał. Zorgi nie musiał czekać na tłumioną salwę śmiechu u pozostałych kolegów, aby zrozumieć, że pozwolili sobie na żart w stosunku do niego i to, według niego samego, dość marnego gatunku. Cokolwiek to było, nie mogło mu się spodobać i nie miał zamiaru tego ukrywać.

– Ja was, kurwa, zaraz zamięję! – stwierdził krótko Zorgi, ciężko oddychając i spoglądając na nich ze złością. – Co to wszystko znaczy? Podśmiechujek wam się zachciało? Ze mnie, kurwa?! Chcecie abym tak wam pogonił kota, aby na waszych dupskach każdy mógł sobie herbatę zagotować? Naprawdę tego chcecie?! Daję wam słowo, że nie musicie od dzisiaj specjalnie o to prosić! Macie to po prostu jak w banku!

– Bez urazy, Zorgi – wtrącił się Aspir, z trudem zachowując powagę i nie przejmując się wybuchem złości u przełożonego – ale Rover twierdził, że jest w stanie wyczuć z zamkniętymi oczami, kiedy ktoś zechce kopnąć go w dupę, więc postanowiliśmy to sprawdzić przy pierwszej nadarzającej się okazji – uśmiechnął się przepraszająco. – No i tak jakoś, akurat wypadło na ciebie.

– Ja wam dam, kurwa, wypadło na ciebie – denerwował się Zorgi, przetykając ślinę i zastanawiając się, jaka kara będzie adekwatna do przewinienia. I cokolwiek wymyślił, od razu dochodził do wniosku, że to musi być coś bardziej dotkliwego, bo

banda którą miał przed sobą nie takie rzeczy już przeżyła. – Bądźcie pewni, że wam tego nie zapomnę.

– Ta jest, panie kapralu – zapewnili zgodnie wszyscy pod nosem, ale z uśmiechem na twarzy, co nie mogło mu się podobać. I nie miał zamiaru, im odpuszczać.

– A ty, kurwa, czego szczerzysz zęby?! – wydarł się na szeregowego Leńczyka, który na swoje szczęście nie mierzył już w jego kierunku ze swego Beryla, tylko stał na wprost niego i uśmiechał się szeroko. – Zadowolony jesteś?!

– Tak jest, bo wygrałem zakład, panie kapralu – odpowiedział szybko zagadnięty, gdy tylko Zorgi przerwał dla nabrania powietrza. – Mówiłem im, że jak się skupię, to widzę co się za mną dzieje i nikt mnie wtedy nie podejdzie, ale nikt nie chciał mi wierzyć.

– Rover, ciebie to już całkiem popierdoliło?! – zapytał głośno, może nawet nazbyt, ale w złości nie panował nad swoim głosem. – Naprawdę nie chcesz dożyć do końca zmiany? Mam ci to osobiście załatwić?

– A dlaczego? – zdziwił się szeregowy.

– A, kto jest na tyle głupi, by kierować broń w stronę swego bezpośredniego przełożonego? – odpowiedział pytaniem, z trudem zachowując spokój. – Masz szczęście, że była zabezpieczona, bo inaczej bym teraz z tobą rozmawiał!

– A na pewno była? – padło z boku ciche pytanie Luzaka. – Znając Rovera nie byłbym tego taki pewny.

– I na wszelki wypadek na twoim miejscu bym tego nie sprawdzał – odpowiedział spokojnie Aspir, uśmiechając się półgębkiem.

– O czym wy, kurwa... – zaczął Zorgi, przelękając po raz drugi ślinę i wbrew swojej woli skupił wzrok na broni szeregowego.

– Nie, nie, tak sobie tylko gadamy, Zorgi – od razu odezwał się uspokajająco Luzak. – Na pewno Rover wcześniej zabezpieczył swego Beryla – zaakcentował ostatnie słowa, jakby chciał komuś przekazać informację.

– Mogę się założyć, że o tym... nie pomyślał – dodał od siebie z namysłem Aspir, rzucając szybkie spojrzenie na Leńczyka ze szczerym uśmiechem na ustach. – Stawiam piwo, że nie pomyślał... – dopowiedział po chwili wymownej ciszy.

– Chodzi wam o ten metalowy wihajster powyżej spustu? – upewnił się nerwowo szeregowy Leńczyk, z pewnym wahaniem i niepewnością spoglądając na swoją broń. Jakby tego było mało, spoglądał nie na tę stronę broni co powinien, co od razu podniosło u wszystkich ciśnienie.

– Kurwa, Rover, jaki wihajster?! – zdenerwował się Zorgi, czując jak słowa z trudem przechodzą mu przez usta. – W wojsku takie gówna mają swoją fachową nazwę.

– No właśnie, szeregowy – wtrącił szybko Wilk. – Fachowo to się nazywa bezpiecznik, a pan kapral Zorgi na pewno o tym także wie, tylko z wrażenia zapomniał.

– I jest po drugiej stronie, nie tam, gdzie się wyśliniasz – dodał spokojnie od siebie Aspir z wyraźnym zadowoleniem, uważnie go obserwując. – To, na co teraz patrzysz, nazywa się ogranicznikiem długości serii i jest wyłącznie przełącznikiem rodzaju ognia. Przy czym literka S oznacza możliwość prowadzenia ognia krótkimi seriami, dlatego ma wytłoczone S na obudowie. Później jest P, czyli strzał pojedynczy, a na końcu C, oznaczające sranie ogniem ciągłym, czyli wystrzelaniem wszystkiego co masz w magazynku. Sto razy już ci to tłumaczyliśmy, a ty nadal nic na kapujesz. To, na czym masz teraz ustawiony swój wihajster? – spytał z rezygnacją w głosie.

– Na C, czyli sraniu... – odpowiedział krótko Leńczyk.

– Pojebało Cię? – zdenerwował się Zorgi. – Jakbyś nacisnął spust, to mógłbyś mnie przerąbać w pół jedną serią.

– Nie dałoby rady – zaprzeczył szeregowy.

– Chyba dlatego, że Zorgi jest za gruby... – zaśmiał się Aspir. – Poza tym musiałby najpierw wyciągnąć z siebie wszystkie kulki i odnieść na skup złomu, bo wszystko kosztuje.

– Nie, bo nie jestem taki głupi jak niektórzy z was uważają. Jakby ktoś nie wiedział, to tylko się z wami drażniłem – zapewnił w miarę spokojnie szeregowy, odwracając swoją broń w taki sposób, że lufa skierowana została w ich stronę. – Ten wihajster, w kształcie motylka o którym mówiłem, ma tylko dwa przełożenia Z i O, więc nawet głupi się na tym rozpozna.

– Ale wiesz, że wtedy kiedy konstruktor to wymyślił, to nikt nie wiedział o twoim istnieniu i możliwościach? – spytał Aspir, na wszelki wypadek odsuwając jednym zdecydowanym ruchem dłoni wylot broni dalej od siebie. Akurat w stronę Zorgiego, co na pewno nie mogło mu się spodobać.

– Sądzisz, że ktoś, by wymyślił jeszcze położenie L jak dla Leńczyka? – spytał Luzak, który postanowił wtrącić się do rozmowy.

– L jak dla Lebiegi – skorygował jego wypowiedź Wilk, który nie ukrywał, że doskonale się bawi zaistniałą sytuacją. – Ale takim to najlepiej broni do ręki nie dawać. Rover, a ty wiesz chociaż co oznacza owe Z i O?

– No, przecież mówiłem, że to największy głupek we wiosce wie. Zemknięte i łotwarte, nie? – odpowiedział z powagą i spojrzał z zadowoloną miną na lekko pochmurną twarz Zorgiego. – Dobrze mówię, Zorgi?

– Chuj, a nie dobrze! – wrzasnął na niego wściekle spytany. – Po pierwsze nie Zorgi, tylko panie kapralu, kurwa! Po drugie, nie kieruj w moją stronę lufy, bo ci zaraz przypierdolę! A po trzecie, to... oznacza zabezpieczony i odbezpieczony, głąbie jeden! A nie jakieś zemknięte i łotwarte, idioto!!

Gdyby nie żywiołowy wybuch śmiechu turlających się teraz kolegów, może miałby kłopot ze zrozumieniem, że po raz kolejny został wpuszczony w maliny, ale to było więcej niż logiczne.

– Kutasy! – wrzasnął wnerwiony, ale z trudem utrzymywał powagę, patrząc na swoich kolegów turlających się ze śmiechu i nic sobie nie robiących z jego zdenerwowania. – Zobaczycie, też wam się kiedyś odwdzięczę tym samym. Macie to, jak w banku, banda obszczymurów i pijaków.

– Sorry, Zorgi, ale sam się napatoczyłeś – stwierdził pojednawczo Aspir, ścierając z policzka toczącą się łzę. – Próbujemy w przyspieszony sposób zrobić z Rovera prawdziwego żołnierza i właśnie uczymy go jak wykorzystać zaskoczenie podczas walki z przeciwnikiem. Pierwszą lekcję zdał na piątkę.

– Kurwa, moim kosztem – stwierdził nerwowo Zorgi, spoglądając z dezaprobatą na szeregowca Leńczyka. – Ty też masz u mnie przesrane, dupku.

– A za co, panie kapralu? – zainteresował się Leńczyk. – Przecież ja nic nie zrobiłem, a przy okazji nie pozwoliłem się kopnąć, bo wcale nie spałem tylko udawałem.

– Jakbym chciał cię naprawdę kopnąć, to bym kopnął – zapewnił z grymasem na twarzy Zorgi. – Od początku czułem, że coś tu jest nie tak. Udało ci się uniknąć kopa tylko dlatego, że któryś z tych idiotów dał ci znak i zdążyłeś się przetoczyć.

– Nie, panie kapralu – zapewnił spokojnie Leńczyk. – Nikt mi nie pomógł. Skupiłem się i dzięki temu uniknąłem pańskiej nogi.

– Jak nie, jak tak – zaciętrzewił się Zorgi, rzucając mu niechętne spojrzenie. – Te swoje gadki o przeczuciu, czy czytaniu myśli innych ludzi, możesz sobie wsadzić w cztery litery, bo i tak nikt w to nie uwierzy. Jesteś na to za mały i za głupi.

– Zapewne, ma pan rację, ale nie pozwoliłem się dotknąć... – powtórzył z powagą Leńczyk.

– Zaraz nam opowiesz, jak ostrzegł cię szelest piasku – zaśmiał się ironicznie Zorgi. – Jakbyśmy wszyscy nie wiedzieli, że u ciebie działa tylko żołądek. Skończ lepiej te swoje bajki.

– Ten szelest piasku, to niezły pomysł. Będę musiał przy następnej okazji o tym pomyśleć – przyznał spokojnie Leńczyk, patrząc wyzywająco w oczy kaprala. – Ale między nami mówiąc, obserwowałem cię i widziałem jak pan unosi nogę aby mnie kopnąć, panie kapralu.

– Cię, kurwa? Jaki cię? – wyrwało się Zorgiemu, po czym dopiero zauważył, że księżyc świecący za jego plecami tworzy na piasku zarys jego postaci. Teraz już wiedział, że Leńczyk nie potrzebował niczyich znaków, bo mógł obserwować jego działanie. Nie pozostało mu nic innego jak przyznać, że jest zaskoczony jego spostrzegawczością. – No popatrz, kurwa, do czego może doprowadzić takiego lebiegę jak ty jakaś baba. Rover zaczął myśleć... nie do pomyślenia.

– Czy pan mnie czasami nie obraża, panie kapralu? – spytał z rezerwą w głosie szeregowy Leńczyk, obserwując go podejrzliwie.

– Ja? – zdziwił się Zorgi, szukając pomocy u pozostałych kolegów, ale żaden z nich nie miał zamiaru go wesprzeć uważając, że w tym przypadku przesadził.

– No, bo porucznik Malyszewsky nie jest babą, to najpiękniejsza kobieta jaką znam.

– Młodzi jesteście, Leńczyk, mało co widzieliście, to i możecie tak myśleć – przyznał po chwili namysłu kapral Zorgi, po czym dodał widząc, że nie przekonał do końca podwładnego. – Choć z tego co mówił Zalew, rzeczywiście niezła z niej du... dziewczyna – dokończył poprawnie, gryząc się w ostatniej chwili w język, chciał użyć zupełnie innego i dosadnego określenia. – Niezaprzeczalnie jest ładna...

– I mądra – dodał za niego szeregowy Leńczyk, uśmiechając się do swoich myśli.

– Jakby taka była, to nie miałbyś u niej szans – jęknął cicho Aspir, ale pod wpływem karcącego spojrzenia Wilka szybko dodał: – Przecież tak sobie gadam... Poza tym niech nie przesadza, zgodziliśmy się, że jest ładna, to chyba starczy? Jakoś nie mogę pojąć, że ma wszystkie zalety i żadnej wady. Ja jeszcze takiej nie spotkałem, a on miałby ją spotkać? I to tu w Iraku?

– Nikt ci źle nie życzy, Rover, ale wiesz jak to jest w wojsku – odezwał się cicho Wilk, unikając wzroku szeregowca. – Różne rzeczy się mogą wydarzyć, ale jakoś nie słyszałem do tej pory, aby oficer US Army ożenił się ze zwykłym szeregowym. A do tego ona jest córką generała, który na pewno nawet nie myśli, że może dojść do takiego mezaliansu... Nie...

– A, co to jest ten mezalians? – spytał niecierpliwie Leńczyk, wchodząc mu w słowo i nie pozwalając skończyć.

– To związek osób o nierównym pochodzeniu społecznym, statusie materialnym lub wykształceniu – wyjaśnił spokojnie, nie ukrywając wyższości, Aspir ze swego miejsca. – Dawniej to była duża przeszkoda.

– E, tam. – Leńczyk wzruszył ramionami, jakby nie widział w tym nic wielkiego, co skomplikowałoby jego plany. – Mnie tam to nie przeszkadza, ja za dużo nie wymagam, byleby mnie kochała i już.

– Tego się można było spodziewać, tylko że w tym wypadku ty i twoje wymagania absolutnie nie są brane pod uwagę – stwierdził z rezygnacją w głosie Wilk i postanowił zmienić temat rozmowy. Zwrócił się do Zorgiego, który stał na swoim miejscu przyglądając się im z dezaprobatą. – A tak między nami, po jaką cholere do nas przybiegłeś? Bo nie wierzę, że wodzu miał już ciebie dość i kazał przyjść takiemu, kto zna się trochę na łączności. Do rana to jeszcze z tobą wytrzyma, abyś tylko za dużo nie gadał.

– Wal się – poinformował go w miarę spokojnie Zorgi, unosząc znacząco ku górze środkowy palec, co dokładnie przekazywało jego myśli. – Wpadłem, bo zapomniałem zabrać z bazy dupnego papieru, a muszę skoczyć w krzaki za potrzebą.

– A co, oszczędzasz na swoim? – Wilk nie darował sobie okazji do drobnej złośliwości. – Przecież wiesz, że z papieru do dupy nas nie rozliczają i nie będziesz mógł niewykorzystanego zabrać do domu.

– Poza tym, od dzisiaj nie mówimy dupny papier, tylko JWTP – poinformował go z powagą Aspir, a widząc jego pytające spojrzenie dodał wyjaśniająco: – Mówiliśmy przecież, że skoro nasz kolega... – spojrzał znacząco na Leńczyka – smali cholewki do Amerykanki, to prowadzimy błyskawiczny dokszałt, aby mógł opanować język naszych sojuszników celem zrozumienia, o czym oni tam między sobą gadają. Dlatego wyjaśniamy mu angielskie akronimy i slangi, korzystając z wolnego czasu.

– A co niby znaczy owe JWTP? – spytał Zorgi, kręcąc głową, co świadczyło, że nie może ich z niczym skojarzyć. – W ogóle istnieje coś takiego?

– Jakbyś kiedyś wysunął nos poza bramę swojej wiochy, to byś wiedział wieśniaku, że wszystko w amerykańskiej bazie ma swoją nazwę, także papier toaletowy.

– Pierdzielenie... – prychnął nerwowo Zorgi. – Dupny papier, to dupny papier i koniec.

– I tu się mylisz – zaśmiał się Aspir, nie kryjąc zadowolenia. – Może i tak go wszędzie nazywają, ale nie w Ameryce, która zawsze musi być największa, najlepsza i najmądrzejsza. Ich wojskowy papier toaletowy nazywany jest John Wayne Toilet Paper i wiedz, że sporo naukowców długo pracowało nad nim aby spełniał wszystkie wymogi amerykańskich wojskowych. Jest nie tylko ekologicznie szorstki, co powoduje, że żadne gówno nie zostanie na gładkiej amerykańskiej dupie, ale także ma odpowiednią grubość, aby nie trzeba było go składać podwójnie jak to się dzieje

przy naszym polskim, a wszystko zostało dopracowane do doskonałości, choćby po to, żeby żadna część wydalanego gówna nie przykleiła się na dłoni, która zgodnie z amerykańską doktryną wojskową może być w każdej chwili potrzebna aby nacisnąć spust od broni. Sam musisz Zorgi przyznać, że w terenie, gdzie także dochodzi do konieczności wykonania tego zadania, nie ma możliwości skorzystania z wody aby ją obmyć, więc to jest na tyle poważny problem, aby go sensownie rozwiązać. Dlatego Amerykanie poszli o jeden krok dalej i zadbali o to, by wcześniej wspomniany papier do dupy nasączyć odpowiednimi preparatami chemicznymi, które w kontakcie z ropą zapewniałyby jego bezproblemowe spalenie wraz z przylepionym do niego gównem. Dlatego też w amerykańskich sraczach polowych obowiązują dwa osobne systemy wydalania. Rozróżnia się je poprzez konsystencję wydalanego produktu i dlatego nazywa się to wydalaniem miękkim i twardym.

– Choć to drugie, często wcale nie jest naprawdę twarde – wtrącił swoje trzy grosze Wilk, ale zganiony wzrokiem przez Aspira, uniósł dłonie w geście przeproszenia i skupił się na skrywaniu swego rozbawienia.

– Jak słusznie zauważył nasz kolega, konsystencja tak zwanego gówna, na przykład przy rozwolnieniu, nie ma nic wspólnego z czymś twardym, ale zasada jest jedna. Mocz oddajemy do innego naczynia, a gówno do drugiego, i nigdy ich nie mieszamy, bo ogólnie wiadomo, iż mocz ma w sobie zbyt dużą pojemność płynów aby mógł się spalić. Co innego zwykle gówno, choćby nawet w różnej konsystencji. Ono przy odpowiednim wymieszaniu z ropą i papierem JWTP zawsze ulegnie spaleni. Wracając do sedna sprawy, dlatego właśnie ten papier znajdziesz w każdej bazie wojskowej US Army na całym świecie. Znam osobiście kilku wojskowych, którzy tak się do niego przyzwyczaili, że nawet w domu nie używają innego, choć na pewno ich żony i dzieci korzystają z miększego i delikatniejszego. Dlatego często w ich domach są dwa rodzaje, dla rodziny i osobno dla wojskowych.

– Pierdzielenie... – stwierdził z ironią Zorgi, obserwując zachowanie pozostałych kolegów przysłuchujących się wykładowi Aspir, aby upewnić się czy nie jest czasami wpuszczany w kolejny kanał. O, ile Wilk z trudem utrzymywał powagę, to Luzak, a już szczególnie Leńczyk, z wyraźnym zainteresowaniem przysłuchiwali się słowom Aspir, jakby było to dla nich ważne i ciekawe.

– Dla ciebie może to być pierdzielenie – zgodził się Aspir, patrząc mu prosto w oczy. – Ale nie mówię tego do ciebie, tylko do wiadomości Rovera, aby później wiedział o czym jest mowa, jakby co... – zakończył niedopowiedzeniem.

– A jemu to po kiego? – zdziwił się Zorgi, zastanawiając się do czego zmierza Aspir.

– Od razu widać, że ostatnio za dużo zadajesz się z wyższymi stopniem, bo nie myślisz logicznie. – Aspir ciężko westchnął, co miało zapewne świadczyć, że jest zaniepokojony stanem umysłu swego kolegi. – Przecież wiesz, że Rover ma dziewczynę...

– Dziewczynę?! – wszedł mu w słowo Zorgi, nie kryjąc zaskoczenia.

– A dziewczynę, dziewczynę – przedrzeźniał go Wilk, choć sądząc po jego minie także uważał to określenie za przedwczesne i przede wszystkim za zbyt wyszukane i nie odpowiadające prawdzie.

– Amerykankę... – wszedł im w słowo Rover i sądząc po jego głosie, był z tego bardzo dumny. Po czym dodał o wiele ciszej: – Choć trochę Polkę...

Wszyscy spojrzeli po sobie z grymasem, co zapewne miało świadczyć, że większość z nich ma swoje zdanie, ale woli nie wypowiadać go głośno, by nie robić przykrości koledze. Cisza, choć wymowna, nie mogła jednak trwać zbyt długo, więc po chwili odezwał się ponownie Aspir i zrobił to tak, aby nikt nie miał żadnych wątpliwości, że najlepszym rozwiązaniem będzie nie wchodzenie w zbyt szczegółowe dywagacje jak to jest naprawdę z tą dziewczyną szeregowego Leńczyka.

– I właśnie dlatego tłumaczymy mu czego może się spodziewać, gdy ktoś w jego towarzystwie rzuci jakimś akronimem lub slangiem US Army. W końcu może się znaleźć w takiej sytuacji i głupio będzie, jeśli tego nie zrozumie. Wstyd przed generałem, jego wybranką i w ogóle wstyd aby ktoś mógł go obrazić, a on nie będzie zdawał sobie z tego sprawy.

– No tak – przyznał bez przekonania Zorgi, patrząc badawczo na Leńczyka, jakby zastanawiając się czy bardziej nie wierzy w istnienie dziewczyny – choć coś tam słyszał o jakiejś Amerykance w stopniu oficerskim, która go podobno pocałowała – czy w inteligencję kolegi, który często się zachowywał jakby był jej pozbawiony, a czasami wszystkich zaskakiwał swoimi ocenami i wiadomościami. Zastanawiał się nawet w takich sytuacjach, który z nich jest prawdziwy i czy ten drugi „dupowaty” Leńczyk nie jest grą z jego strony. Co prawda oznaczałoby to, że nie był tym za kogo się podawał, a to mogło oznaczać, że może być wtyką „abwery”, ale to było tak abstrakcyjne, że w coś takiego nie mógł jednak uwierzyć. Prawie tak samo, jak w historię, że jakaś amerykańska oficer mogłaby być jego dziewczyną, chyba że była tak piękna, że nawet na tym zupełnym bezrybiu nie wzbudziła u nikogo innego żadnego zainteresowania. O, w to mógł spokojnie uwierzyć i na myśl o tym, jak może wyglądać ten wyrzucony na brzeg bezradny wieloryb, uśmiechnął się do swego kolegi.

– To koniecznie mu powiedzcie, że amerykanie swoje Toi-Toi nazywają blue canoe, bo jak dziewczyna mu powie, że musi tam iść, to nie będzie wiedział, o co chodzi i może wpaść po uszy w bagno – dorzucił swoją radę Zorgi.

– Blue canoe... – powtórzył za nim Leńczyk, zastanawiając się, co to w ogóle może znaczyć.

– Po polsku można to przetłumaczyć jako błękitna łódka, ale to zupełnie coś innego – dodał wyjaśniająco Zorgi, widząc jego pytające spojrzenie. – To nazwa ich przenośnego chemicznego ustępu.

– Blue, bo jest w niebieskim kolorze – dodał od siebie uradowany Leńczyk, jakby chciał wszystkim pokazać, że nie jest taki całkiem głupi jak uważają. – Choć jest z białymi drzwiami, aby można było do niego bez problemu trafić – dodał domyślnie.

– Albo dlatego, żeby „szuszwole” od razu wiedzieli, gdzie strzelać, aby siedzący w środku palant wysrał szybko całą zawartość do pojemnika, zamiast w gacie – dodał sarkastycznie Wilk, unikając jego spojrzenia. – Wracając do tego cholernego dupnego papieru, to ja znam jeszcze jedno jego określenie, ale z poziomu zwykłych żołnierzy. Jak ktoś ci z US Army powie, że potrzebuje formularza DA1, to znaczy, że chce papieru toaletowego, a jeśli powie, że formularz ID-10T, to od razu wal go w gębę, bo właśnie nazwał cię idiotą i musisz zareagować właściwie, żeby nie wyjść na kompletnego Tube Steak.

– Domyślam się, że te „tube steak”, to nic dobrego? – zapytał Leńczyk.

– No... prawie to samo co POG – odpowiedzieli mu prawie jednocześnie Wilk z Aspirym, po czym spojrzeli na siebie zmieszani i Wilk postanowił przejąć inicjatywę:

– Jak będziesz rozmawiał z Amerykańcami to pamiętaj, że oni u siebie używają mili, a nie kilometrów, więc na wszelki wypadek swoją podawaną odległość określaj jako clicks.

– Clicks? – upewnił się Leńczyk, przyglądając mu się podejrzliwie.

– Clicks – potwierdził Wilk, patrząc mu w oczy. – To inne określenie kilometra, a dokładnie oznacza odległość zero sześćset dwadzieścia mili. Nie ma sensu abyś robił rachunki zamiast nich, więc mów clicks i niech oni się dalej martwią. Słowo, że to żaden przekręt – zapewnił.

– To nie wyjdę na „tube steak”? – spytał z nadzieją Leńczyk.

– Nie – zapewnił Aspir, wchodząc im w rozmowę. – Ale, kurwa, jak ty to sobie wyobrażasz dalej ciągnąć, jak ty prawie nic nie gadasz po angielsku? Chłopie, dla mnie, to jest bez sensu. Ja już nie mówię o niej, ale prędzej czy później będziesz

musiał poznać jej znajomych i co wtedy zrobisz? Będziesz siedział jak na rozgrzanych kamieniach i zastanawiał się, o czym oni, kurwa, pierdzielią między sobą. A jeśli gadają o tobie, to czy czasami ciebie nie obrażają. Kurwa, po co się pakujesz w taki kanał bez wyjścia.

– Bo ona jest piękna – ciężko westchnął Leńczyk, zaciskając usta.

– Piękna, piękna – skwitował to ironicznie Zorgi, spoglądając na niego ze współczuciem. – Na pustyni to nawet stary muł będzie wyglądał jak najpiękniejszy arab. Chłopie, daj se na wstrzymanie, wrócisz do domu, to sam się sobie będziesz później dziwił, co w niej widziałeś. Przecież wiesz, że Polki są najpiękniejsze a ona ma tylko jakiś promil naszych polskich genów.

– Ale ona naprawdę jest piękna – przekonywał Leńczyk.

– A czy ja mówię, że nie? – zdziwił się Zorgi, wzruszając ramionami. – A znasz przysłowie, że z pięknego kieliszka nie każdy może się napić.

– Jaki kieliszek? Co ty pierdzielisz? – wtrącił się Aspir, patrząc na Zorgiego jak na kogoś niespełna rozumu. – Tobie już całkiem się popierdzieliło? Tam było coś o dzbanie...

– Raczej o misce, głąby – odezwał się ze swego miejsca Wilk, śmiejąc się wesoło. – Jeden wart drugiego... Dokładnie to brzmiało, że z pięknej miski się nie najesz, ale z pełnej zawsze.

– Odezwał się następny humanista od siedmiu boleści – Luzak nie chciał być gorszy, od swoich kolegów. – Z pięknej miski się nie najesz, ale piękną kobietą się nasycisz – przekazał z dumą swoją wersję przysłowia.

– Jaka kobieta, Luzak? Coś ty znowu wymyślił? – zdziwił się Zorgi, patrząc na nich kolejno, jakby widział ich po raz pierwszy w życiu. – Zresztą, was wszystkich dzisiaj rozum opuścił. Po czemu niby baba do miski? Jest czas na żarcie i czas na zapinanie... – dokończył wzniośle, jednocześnie unosząc dłonie ku górze jakby

chciał w ten sposób przekazać, że uważa temat za zakończony. – Jeśli oczywiście ktoś z was skumał, co mam na myśli mówiąc o zapinaniu.

– A co taki fajfus jak ty, Zorgi, może mieć innego na myśli? – Aspir nie miał zamiaru dawać koledze satysfakcji. – Zapewne o tym, czegoś nigdy w życiu jeszcze nie robiłeś... – parsknął śmiechem. – W każdym razie z kobietą, bo co do innych zwierzątek, to może i już ci się kiedyś udało.

– Dołączyłbym do tego jego rączkę – dodał od siebie Luzak, wybuchając śmiechem. – W końcu własna rączka najlepszym przyjacielem Zorgiego jest, co nie!

– Kurwa, czy pod tym mostem może być ciszej! – niespodziewanie dobiegł ich z góry rozdrażniony głos sierżanta Gecco. – Rzycie tak, jakby odwiedziła was jakaś dziwka i pytała czy któryś chce za darmo. A może wam, kurwa, wymyśleć jakieś dodatkowe zajęcie, aby wam przeszła głupawka?!

– Spoko, sierżancie – pierwszy odezwał się Aspir, z trudem zachowując powagę. Wesole chochliki które pojawiły się w jego oczach, mogły świadczyć, że to jeszcze nie koniec jego wypowiedzi, o czym się szybko przekonali. – Ale Zorgi właśnie nam opowiada jak spotkał pana sierżanta w łazience i miał pan na sobie stringi, więc sam pan rozumie.

– Ja nic takiego nie opowiadałem! – rozdarł się z dołu Zorgi. – Aż tak głupi nie jestem.

– A, co to są, kurwa, stringi?! – padło z góry konkretne pytanie sierżanta. – Czy czasami ktoś tu nie robi sobie ze mnie jaj?! Bo wiem doskonale co oznacza dla dowcipnisiów określenie „speed bumps” i jeśli ktoś jest zainteresowany... – chciał dokończyć, gdy spod mostu wybuchł gromki śmiech, który skutecznie zagłuszył jego ostatnie słowa.

– A nie mówiłem, że nasz sierżant nie orientuje się w żeńskiej dupnej modzie – stwierdził Aspir parskając z uciechy, nie dostrzegając wymownego ruchu Luzaka, że

sierżant raczej nie jest w dobrym humorze i nie potraktuje jego odzywki jako żartu. A już szczególnie jako dobrego i wesołego...

– On się zatrzymał na etapie barchanów – Zorgi scenicznie ściszył głos, ale na tyle nieskutecznie, żeby mogli go wszyscy usłyszeć. – Zresztą po ciemku to i tak nie widzi co pod spódnicą nosi jego Zosia.

– Jak to nie widzi? – zdziwił się Aspir, nie zdając sobie sprawy, że... wnerwiony sierżant właśnie postanowił osobiście zejść do nich wyjaśnić wszystko i każdemu z osobna na miejscu, jakie ma o nich zdanie. – Przecież wiadomo, że spodnie, bo przecież ktoś w rodzinie musi je nosić, więc w tym przypadku wypadło na nią.

Śmiał się uderzając dłońmi w kolana, gdy zwrócił uwagę, że tylko on doskonale się bawi, podczas gdy wszyscy pozostali tak jakoś dziwnie patrzą w różne strony, unikając patrzenia w jego kierunku. Dopiero po chwili doszedł do wniosku, że może robią to specjalnie, by nie patrzeć na kogoś, kto... stał za nim. Nie przerywając śmiechu obejrzał się za siebie i chrząknął dostrzegając tuż za sobą wnerwionego sierżanta. Od razu śmiech zamarł mu na ustach.

– O... – jęknął głośno i szybko przejął inicjatywę, dochodząc do wniosku, że nikt z kolegów z własnej woli nie nadstawi karku za niego. – Melduję drużynę podczas odpoczynku. Stan ludzi – czterech. Korzystając z okazji, pogłębiamy znajomość języka angielskiego u szeregowego Leńczyka, bo nigdy...

– Milcz, cholerny pokurczu i przestań mieć jęzorem po próżnicy, bo ci go przytnę – warknął tylko sierżant, zaciskając nerwowo dłonie, ale to wystarczyło, by Aspir zamilkł i stanął przed nim na baczność, spodziewając się najgorszego i gotowy do wysłuchania najgorszej nawet połajanki bez zmrużenia powiek. – I nie myśl sobie, że jestem ślepy i głuchy jak mój szwagier, z którego możecie sobie robić jaja za jego plecami. Te swoją bajeczkę o uczeniu Rovera angielskiego, to wsadź sobie między

pośladki i mocno ściśnij, bo zaraz tak ci przypierdolę, że zamiast jaj będziesz tam miał reakcję jądrową.

– Sorry, panie sierzancie... – próbował się wtrącić Wilk.

Próbował, było najlepszym określeniem, bo sierżant Gecco spojrzął tylko na niego i to wystarczyło, by Wilk doszedł do wniosku, że niepotrzebnie chciał włożyć kij między szprychy, bo teraz oberwie za to z powodu niepotrzebnego chciejstwa.

– A ty co? Adwokatem tego dupka zostałeś? – spytał poprzez zęby sierżant, obrzucając pozostałych ponurym spojrzeniem, jakby sprawdzał czy znajdzie się jeszcze ktoś kolejny, aby mu przypomnieć, gdzie jest jego miejsce. Nikt nie patrzył na niego, więc postanowił się o tym przekonać. – Inni też uważają, że mają coś do powiedzenia i powinienem ich wysłuchać? Demokracja wam się marzy? Nie ma sprawy, znajdę zajęcie dla wszystkich – obiecał ponuro, co spowodowało, że każdy odruchowo poprawił na sobie oporządzenie i na wszelki wypadek sięgnął po swoją broń, bo raczej nie powinni się spodziewać, że nadal zostaną pod mostem.

– Chciałem tylko przeprosić... – wtrącił się Wilk, korzystając z chwilowej nieoczekiwanej ciszy. – To były tylko głupie żarty i nikt z nas nic złego nie miał na myśli. A za panią Zosię, to byśmy poszli się porąbać, sam pan dobrze o tym wie.

– Wiem... – przyznał niespodziewanie sierżant, uśmiechając się ironicznie. – Dlatego tę sprawę zostawię w jej gestii, jak wrócimy... – przerwał na chwilę, chcąc uzyskać odpowiedni nastrój i dodał: – Osobiście jej przekażę, w czym według was chodzi na co dzień.

Odczekał aż umilknie cichy jęk wszystkich i dodał współczująco.

– Może wam się dzieciuchy wydawało, że znacie moją żonę, ale mówię wam, że dopiero teraz ją poznacie, jak się na was wkurwi i pokaże, co to znaczy. Mogę wam tylko powiedzieć, że wołałbym sto razy bardziej podpaść P_E niż jej, więc czarno widzę waszą przyszłość. Skończy się matkowanie z jej strony, a zacznie się normalna partnerska znajomość, gdzie okaże się, że wasze dotychczasowe chciejstwo ma

gównu do znaczenia, a jej jedno spojrzenie i słowo pokaże wam jak to jest znaleźć się w piekle.

– Panie sierzancie, to były tylko żarty – odezwał się niespodziewanie Aspir. – Bądź pan człowiekiem, przecież pan nas zna.

– O, teraz to były żarty? – zdziwił się sierżant Gecco, obserwując ich uważnie spod zmarszczonych brwi. – Do tego jeszcze teraz jestem dla was pan? No, no, co za miła i niespodziewana odmiana. Ale nie myślcie sobie, że wystarczy mi tylek polizać panem sierżantem i wszystko wam daruję. Ci co mnie znają, dobrze wiedzą, że jestem dobry i grzeczny, ale tylko dla tych którzy traktują mnie z szacunkiem. Jeśli jednak ktoś mi zajdzie za skórę, to potrafię pokazać swoje drugie oblicze i nie ma zmiłuj się! Jak ktoś myśli, że szybko jakiemuś takiemu durniowi wybaczę, to jest w błędzie. A nawet, jeśli byłbym kiedyś do tego skłonny... – przerwał, dla podkreślenia wagi słów, które chciał wypowiedzieć, a oni wiedzieli, że robi to specjalnie, by uświadomili sobie, co ich czeka w najbliższej przyszłości – ...to wcześniej niżle go poganiam po terenie.

– Zrobi pan to, co uzna za stosowne – odezwał się po chwili ciszy Luzak. – I skoro zasłużyliśmy na jakąś karę, to ma pan do tego prawo, sierzancie.

– Sierzancie, a już nie panie sierzancie? – zdziwił się Gecco.

– Skoro i tak ma pan nas zamiar sponiewierać, to po co mamy panu lizać ego, czyli jak pan woli cztery litery – wyjaśnił spokojnie Luzak, sprawdzając zamocowanie swojego wyposażenia. – Proszę tylko pamiętać, że nie każdy rzał jak Aspir – dodał wieloznacznie, unikając jego ponurego spojrzenia.

– To ja idę – zameldował na pół służbowo, na pół prywatnie Zorgi, który doszedł do wniosku, że akurat cała ta sytuacja na pewno nie dotyczy jego osoby. Spokojnie wytrzymał zdziwione spojrzenia pozostałych kolegów, wzruszył ramionami i postanowił szybko wrócić do swoich obowiązków.

– A ty gdzie? – osadził go w miejscu lekko podniesiony głos sierżanta Gecco.

– No... Wracam do radiostacji, bo kapitan może mnie potrzebować – zapewnił spokojnym głosem, a w każdym razie miał taką nadzieję. – Moja obecność tutaj to tylko nieszczęśliwy splot wydarzeń. Wpadłem spytać, czy któryś z nich ma trochę niepotrzebnego papieru do srania. I tak już miałem zamiar iść, kiedy pan sierżant się tutaj pojawił i postawił do pionu całe te nawalone towarzystwo – próbował się przypodobać.

– Naprawdę Zorgi uważasz, że słoń mi nadepnął na ucho i nie rozpoznałem twojego głosu i rżącego śmiechu? – spytał grzecznie sierżant Gecco, przyglądając mu się spod wpół przymkniętych powiek. – Masz mnie za idiotę? – spytał słodko, co nic dobrego nie zapowiadało.

– Że niby co? Że niby ja? – próbował bronić się Zorgi. – Ależ skąd! – zapewnił, wykorzystując okazję, aby oddalić się od sierżanta o kolejne pół kroku.

– A ty? – uwaga sierżanta skupiła się na Aspirze, który stracił już wszelką nadzieję, że uda mu się cało wyjść z tej sytuacji. – Co twój ściśle medyczny mały rozumek kombinuje?

– Zgodnie z medycznym punktem widzenia idiota to osoba upośledzona umysłowo, która swoim zachowaniem daje podstawy do takiej oceny – stwierdził rzeczowo Aspir, nie mając nic do stracenia. – Jednocześnie jest to synonim ludzi, których często określamy jako: baran, bałwan, bęcwał, głupiec, głupek, cymbał, debil, dureń...

– Hej, nie pozwalasz sobie za dużo? – wtrącił Gecco, przyglądając mu się podejrzliwie. – Bo jakoś tam mi się wydaje, że nie za bardzo rozumiesz swoją pozycję.

– Broń Boże, panie sierżancie – zapewnił z rezygnacją w głosie Aspir. – Staram się po prostu odpowiedzieć dokładnie na pana pytanie, jeśli oczywiście pan mi pozwoli.

– Niech będzie, że pozwalam – zgodził się łaskawie Gecco, ale przyglądał mu się uważnie podejrzewając, że może jednak coś walnąć.

– Skończyłem na durniu? – upewnił się Aspir i widząc przytakujące skinienie głową sierżanta, oraz proszące spojrzenia pozostałych na które nie zwracał uwagi, zaczął mówić dalej. – Więc został nam jeszcze imbecyl, jełop, kretyn, matoł, młotek, tępak, tuman, osioł, palant, przyglup, psychol, porąbaniec, półgłówek, barania lub kapuściana głowa, zakuta pała...

– Proponuję, abyś już skończył – stwierdził ponuro sierżant Gecco, nie rozumiejąc do czego zmierza Aspir.

– Tak jest, panie sierżancie – zaakceptował propozycję sierżanta Aspir. – Chcę tylko wyjaśnić, że mógłbym w tym stylu mówić jeszcze z kwadrans, ale ani jedno z tych określeń nie pasuje do pana sierżanta, ani do stopnia jaki posiada – dodał z niewinnym uśmiechem, słysząc jak za jego plecami pozostali koledzy z uznaniem sapia, doceniając jego spryt i przebiegłość.

– Takiś cwany... – jęknął z powagą Gecco, zachowując ponury wyraz twarzy, co wcale nie było takie proste. – Więc mówisz, że nie pasuje do mojego stopnia... A pasuje do kapsla, kaprawca, taśmy, zegara, narciarza, toromistrza, baniaka, taśmociąga lub szczebla? – spytał z zainteresowaniem.

– Jeśli zgodzimy się, że ludzi inteligentnych w społeczeństwie jest do dziesięciu procent i bardzo niewielu z nich idzie do pracy w wojsku, bo byłoby to jednoznaczne z zaprzeczeniem ich inteligencji, to... – zauważył z powagą Aspir, nie spuszczać wzroku z sierżanta i dostrzegając u niego symptomy powracającego humoru – ... mógłbym się zgodzić z pana interpretacją. Chciałbym tylko skromnie zauważyć, że w takiej sytuacji może to także dotyczyć pewnej grupy starszych podoficerów, bo jak mawiał Forest Gump: Fajnie jest być idiotą, szczególnie gdy jest się dowódcą.

– Znowu zaczynacie? – upewnił się Gecco, po czym jego wzrok zatrzymał się na uśmiechniętej twarzy szeregowego Leńczyka. – A co was tak bawi, Rover? Zrozumieliście, chociaż coś z tego?

– Tak jest, panie sierżancie – zapewnił z powagą pytany. – Że, jeżeli jest się idiotą, to nie można być głupim i cały czas trzeba myśleć.

– Że co? – sierżant wpatrywał się w niego z niedowierzaniem. – Skąd taki pomysł?

– Bo idiotów nie należy specjalnie szukać, sami się pchają do rządzenia i dowodzenia – zameldował szeregowy, mężnie wypinając pierś do przodu.

– Rover, kto wam takich głupot naopowiadał? – spytał z niedowierzaniem, przenosząc wzrok na stojącego obok Aspira. – On?

– Sam do tego doszedłem, panie sierżancie – zapewnił z uśmiechem na twarzy szeregowiec. – Przecież nie jestem głupi, choć często innym tak się wydaje.

– Kurwa, Rover, wy mnie do grobu wpędzicie tymi swoimi mądrościami dla ubogich – jęknął tylko Gecco, ciężko wzdychając i kręcąc z niedowierzaniem głową. Wybaczcie, ale jakoś nie mogę pojąć, że takie debilstwo mogliście sami wymyśleć. Na pewno nikt wam nie pomógł? Nie zainspirował, czyli podpowiedział... – wyjaśnił, żeby podwładny nie miał wątpliwości o czym mówi.

– Jeżeli ktoś mnie inspirował, to tylko pan, panie sierżancie – zameldował z uśmiechem.

– Kurwa, szeregowy, jak to ja?! – rozdarł się niespodziewanie, wpatrując się w niego, jakby zobaczył przed sobą idiotę. – Co ja wam takiego, kurwa, zrobiłem?! Do końca już zidiociałeś?

– No sam pan mówił, że aż dziw jak ktoś taki jak ja, może wychodzić z wszelkich kłopotów bez szwanku – wyjaśniał spokojnie Leńczyk, bo zdawał sobie sprawę, że sierżant nie powiedział tego specjalnie, tylko jakoś tak... naturalnie wyszło. – Teraz też... – zakończył.

– Co teraz?! – zdenerwował się sierżant. – Co znowu?!

– Powiedział pan, że jestem idiotą – szeregowy Leńczyk nie tracił spokoju, choć po jego twarzy przeleciał nerwowy tik.

– Ja?! Kurwa! Kiedy?! – spytał sierżant.

– No z tym zzzidiocceniem – wytknął mu, niespodziewanie się jękając.

– Ja?! – po raz kolejny wydarł się na niego i z nadzieją spojrzął na Aspira, jakby liczył, że ten zaprzeczy Leńczykowi.

– Przepraszam, panie sierżancie, ale tak właśnie było – usłyszał potwierdzenie, które co najmniej go zaskoczyło. – Wszyscy to słyszeliśmy.

– Co prawda, to prawda – niemrawo poparli Aspira pozostali.

– Kurwa, to przepraszam – wyrzucił z siebie sierżant, kręcąc z niedowierzaniem głową i od razu znalazł winnego. – To, kurwa, wszystko przez was, bo tak potraficie człowiekowi namieszać w głowie, że sam już nie wie, co mówi.

– I vice versa... – rzucił spokojnie Wilk.

– Co, kurwa, mówiłeś? – zainteresował się sierżant Gecco, zauważając ruch jego warg. – No co tam marudzisz pod nosem?

– Że nie tylko my mamy zdolności do mieszania w głowie, panie sierżancie – zamiast Wilka pierwszy odpowiedział Aspir. – Pan także tak nam czasami miesza w głowie, że człowiek powie zupełnie co innego niż zamierzał.

– Ty mi tu nie pierdziel takich farmazonów, Aspir – zdenerwował się Gecco, bo od razu skojarzył, że tamten próbuje zrzucić winę na niego. – Myślisz, że jak skończyłeś rok studiów na medycynie, to jesteś mądrzejszy ode mnie i możesz mi wszystko wmówić, przez te swoje parapsychologię, czy inne naukowe badziewie?

– Nawet bym się nie odważył – zapewnił spokojnie Aspir, zastanawiając się, jak to wszystko zakończyć. – W końcu każdy ma prawo do błędów, szczególnie że wszyscy siedzimy tu jak na widelcu i każdemu udziela się nerwowa atmosfera, a wtedy każdy może palnąć jakąś głupotę.

– No może i masz rację... – przyznał po chwili namysłu sierżant Gecco, obserwując ich podejrzliwie. I przy okazji zauważył, jak Zorgi ponownie robi mały krok do tyłu oddalając się jeszcze bardziej od niego i swoich kolegów.

– Zorgi, nie bądź taki cwany – przywołał go do porządku. – Śpieszysz się gdzieś?

– Muszę wracać do kapitana i tak mnie tam długo nie było – wyjaśnił tamten, szacując czy jest dostatecznie daleko, żeby pospiesznie zacząć odwrót. – Odszedłem tylko aby się wykupsać i nie wiem, czy nie jestem potrzebny. A wszystko przez Rovera i to, że chcieliśmy go nauczyć trochę angielskiego – dodał wyjaśniająco, odwracając się do Gecco plecami.

– Zorgi, wróć! – rozkazał sierżant i z zadowoleniem obserwował, jak podwładny posłusznie staje w miejscu, po czym niechętnie, bo niechętnie, odwraca się w jego stronę.

– To mówicie, że uczyliście Rovera angielskiego? – spytał miło, a ponieważ zamiast odpowiedzi doczekał się skinięcia głowami i to bez większego entuzjazmu ze strony pozostałych żołnierzy, zapytał słodko. – A po jaką cholere?

– Chodzi o tę jego dziewczynę z US Army... – zaczął wyjaśniać Zorgi, ale Gecco od razu uciszył go zdecydowanym ruchem dłoni.

– Nie tłumacz mi czegoś, czego nie znasz i nie widziałeś osobiście – stwierdził krótko i zawiesił ponure spojrzenie na szeregowym Leńczyku. – Ja tam nie wiem, Rover, co wy żeście z tym swoim kumplem Zalewem nawyczyniali w dowództwie Dywizji, bo to co do mnie dotarło w formie plotek jest tak głupie i nierealne, że tylko głupi mógłby dać temu wiarę, a na pewno nie ktoś taki jak ja, który z niejednego gara grochówkę próbował.

Szeregowy Leńczyk otworzył usta, chcąc wyjaśnić sierżantowi dokładnie jak to się odbyło, ale ten nie dopuścił go do głosu.

– Nie interesuje mnie to, co masz do powiedzenia – stwierdził krótko Gecco. – Miałeś oddać rower świśnięty dziewczynie i z tego co rozumiem, rozkaz wykonałeś? Co się działo później czy wcześniej, nie jest dla mnie na tyle ciekawe, abym musiał teraz tracić czas słuchając twoich enuncjacji, czy jak to się nazywa... Nikt się ciebie nie pyta – ostrzegł Aspira, który otworzył usta w celu wyjaśnienia użycia słowa enuncjacje, więc posłusznie je zamknął. – Więc nie interesuje mnie, jak to przebiegało, kto wymyślił te plotę o bombie ukrytej w rowerze, czym rozwalił pracę sztabu dowództwa na cały dzień i całej reszcie głupot w stylu gorącej Amerykanki, która rzuciła się komuś na szyję i trzeba było ją odrywać, aby nie doszło do czynów nierządnych na oczach jej ojca, notabene amerykańskiego generała. Niczego co się do tej pory dowiedziałem nie mogłem przyjąć za prawdziwe, ale zacząłem się nad tym zastanawiać, gdy jeden z moich znajomych podoficerów z dowództwa powiedział mi, że dziewczyna dostała torbę krówek, a walnięty szeregowy który sprowadził na nich tę apokalipsę, nie chciał przekazać swojej broni naszemu generałowi. Jak twierdził, jedynym któremu może ją oddać jest jego sierżant, a generała nie zna, więc niech on to sobie wybije z głowy, bo inaczej niejaki sierżant Gecco mu z dupy nogi powyrywa. Wtedy pomyślałem, że może znam jednego tak walniętego idiotę w stopniu szeregowego, który mógłby coś takiego powiedzieć i postanowiłem, że będzie lepiej dla jego i naszego bezpieczeństwa, abym przyznał, że mogę znać kogoś tak głupiego i nieodpowiedzialnego. Dlatego oficjalnie Ci przekazuję, że masz zacisnąć zęby i przestać kłapać jęzorem, że coś wiesz o wcześniej wspomnianych wydarzeniach i miałeś z tym cokolwiek wspólnego. W przeciwnym razie tak się wezmę za twoją dupę, że nie tylko tir będzie mógł przez nią spokojnie przejechać z pełną naczepą, to jeszcze bez kłopotu w niej zawróci. Zrozumiałeś, palancie?

– Tak jest, panie sierżancie! Ale... – szeregowy Leńczyk chciał jeszcze coś wyjaśnić.

– Ale... to hiszpański gej albo inaczej byk bez jajec – wtrącił się Zorgi, dochodząc do wniosku, że w ten sposób zyska dodatkowe plusy u sierżanta. – W wojsku nie ma takiego słowa, a nawet jak jest to się go nie używa bez zezwolenia. Zrozumiałeś, co pan sierżant powiedział?

– No tak, ale... – Leńczyk miał opory z wyparciem się historii, której był uczestnikiem.

– Kurwa, Rover, przestań aleć, bo mnie szlag trafi! – wydarł się na niego sierżant. – Przecież nie mówię Ci, kurwa, że masz zapomnieć o swoich hormonach i tej swojej Amerykance, bo wyobrażam sobie, jak ona może wyglądać. Jej co prawda nie widziałem, ale za to wiem jak wyglądają dzisiejsze Amerykanki i zgadzam się z opinią innych facetów, że w przeważającej większości lepiej je przeskoczyć niż obejść, takie są szerokodupne – nie pozwolił mu dojść do głosu. – Próbuję ci wytłumaczyć, pojebie, że lepiej będzie dla ciebie jak przestaniesz o tym gadać i zaczniesz się pilnować, aby unikać wszystkich którzy mogą skojarzyć, że mógłbyś przez przypadek być tym głupim facetem, który spowodował takie zamieszanie w dowództwie. Zresztą, to nie jest tylko moja prośba, ale także rozkaz naszego kapitana, który miałem już dawno ci przekazać, ale jakoś nie znalazłem jeszcze okazji. Więc nie ma żadnego ale... – zaznaczył z naciskiem na ostatnie słowo. – I jakiejś twojej amerykańskiej dziewczyny, bo obiecuję ci, że nie będziesz miał żadnej okazji przez najbliższe miesiące aby ją zobaczyć. Nie przyjechałeś tu romansować z jakimś szampitrem, ale odsłużyć swoje pół roku pilnując aby żadne gówno nie zaszkodziło tobie jak i twoim kolegom.

– A mailować mogę? – spytał nieoczekiwanie Leńczyk, zaskakując wszystkich.

– A mailuj sobie do usranej śmierci – warknął zły na niego sierżant Gecco, machając ze zniecierpliwieniem ręką, jakby uznawał go za nieuleczalny przypadek zidiociałego faceta. – Każdy żołnierz ma swój limit tygodniowy, który może

wykorzystać i nic mi do tego. Ale... – sierżant przerwał nagle, jakby sobie coś przypomniał i spojrzał na niego zdziwiony – ...czy ty nie jesteś już żonaty?

– To ten drugi – jęknął cicho szeregowy, ale sierżant nie zwracał już na niego żadnej uwagi, bo szkoda było mu czasu na kolejne głupoty Leńczyka.

– Luzak, Aspir i Wilk, do mnie! – rozkazał, wskazując na nich wyciągniętym palcem. – Zorgi, zasuwasz do kapitana. I ostrzegam wszystkich, że to co tu było nie ma prawa wyjść na zewnątrz, bo... wiecie co z wami zrobię – zakończył pojednawczo, a w każdym razie tak miało wyglądać, po czym jego palec zawisł, skierowany w stronę srodze zmartwionego szeregowca Leńczyka. – A ty lepiej zostań pod mostem, bo znowu się coś spierniczy.

– Tak jest, panie sierżancie – potwierdził Leńczyk, siadając z rezygnacją na miejscu i obserwując jak pozostali odchodzą z sierżantem na ubocze.

– Panowie, mamy kłopot – stwierdził cicho sierżant Gecco, pochylając się nad skupionymi w niewielkim wykrocie swoimi podwładnymi. – Któryś z naszych patroli dostał właśnie po głowie od Johny Jihad i potrzebny był Medevac... Z tego co wiem, nie były potrzebne ortalionowe płaszcze, więc nie straciliśmy, póki co dziewictwa i aby tak zostało do końca naszej zmiany – zapewnił od razu, dostrzegając ich nerwowe reakcje. – Dwóch, trzech rannych, rozbity wóz, ale wszystko jest pod kontrolą, jeśli tak można powiedzieć – zakończył.

– Więc w czym problem? – zapytał Aspir, przyglądając mu się z uwagą.

– Mamy się związać i jechać im na pomoc? – spytał domyślnie Wilk. – Jak wysła nam śmigła do ochrony, to nie widzę problemu, chociaż ja bym uważał, bo po drodze na pewno będą ajdiki. Ja w każdym razie bym tak zrobił – zaznaczył z naciskiem. – Przy okazji, wiemy, kto to zrobił? Mookie, czy jakiś odłam Al-Kaidy?

– Co za Mookie? – zainteresował się Aspir, patrząc na niego zdziwiony.

– To slangowe określenie irackich szyitów pod rozkazami Magtara Sadra – wyjaśnił spokojnie Wilk, spuszczać głowę, by nie zauważyli, że się zmieszał. – To tylko jedna z grup szyitów, ale działa w tamtym terenie – dodał.

– Póki co nie wiadomo – przerwał im sierżant. – Zresztą to dla nas nie ma żadnego znaczenia. Ważne, że nasze Barracks Rat w związku z atakiem na tamten patrol zmieniła nam drogę powrotną do obozu.

– Barracks Rat? – powtórzył ze zdziwieniem Luzak, patrząc z niemym pytaniem na sierżanta.

– To slang, który w US Army określa oficerów sztabowych, siedzących w swoich klimatyzowanych pomieszczeniach i nie wyjeżdżających w teren – wyjaśnił cicho Wilk, uśmiechając się promiennie i od razu dodając cicho: – Tylko nie mówcie tak przy Roverze, bo mogę się założyć, że przy pierwszej nadarzającej się okazji walnie im to prosto w twarz i będziemy mieli problemy aby wyciągnąć go z paki.

– Ta zmiana trasy to chyba dobrze? – dopytywał się Aspir, przyglądając się im z uwagą. – Jest szansa, że nie natkniemy się na IED-a.

– Owszem... – przyznał sierżant Gecco, ścisząc głos. – Ale nie zapomnijcie, że byliśmy umówieni z Ibrahimem na odbiór pierwszej dostawy, bo póki co, garaż nie jest jeszcze gotowy do przerzutu i musimy zrobić to sami.

– O kurwa – jęknął Luzak, drapiąc się po podbródku. – Zapomniałem o tym, a teraz to oznacza, że rzeczywiście mamy kłopot.

– Może i nie – wszedł mu w słowo Wilk, przyglądając się z uwagą sierżantowi. – Po ataku na pewno wszyscy w bazie chodzą na rzesach i raczej nikt nie będzie miał głowy ani pomysłów aby kontrolować nasze pojazdy przy wjeździe do bazy. Sądzę, że spokojnie możemy to zrobić na tak zwanego chama i może nam się udać. Towar będzie w tych butlach po wodzie, co ostatnio mu zostawiliśmy?

– Tak się umawialiśmy – potwierdził sierżant.

– To nie powinno być kłopotu – ocenił Wilk. – Wrzucimy na dwa samochody, przykryjemy czymś i co ma być to będzie – wzruszył ramionami, jakby chciał przekazać, że będzie tak jak zechce Allah lub inny Bóg.

– Zapomniałeś, że wracamy inną trasą i raczej nie ma szans abyśmy przejeżdżali obok miejsca, gdzie byliśmy wcześniej umówieni – wtrącił sceptycznie Aspir, rozumiejąc ponury nastrój swego sierżanta. – On tam będzie czekał na nas, bo i skąd może wiedzieć, że wszystko się walnęło.

– To trzeba odkręcić i ustalić nowe miejsce i czas. – Wilk nie wyglądał na zmartwionego zaistniałą sytuacją. – Po pierwsze, Ibrahim nie wygląda na takiego, którego takie małe problemy mogą wyprowadzić z równowagi. A po drugie, przy ostatnim naszym spotkaniu otrzymał od nas komórkę z kartą sieci Iragna, więc nie ma kłopotu aby wcześniejsze ustalenia zmienić.

– Przecież wszystkie sieci komórkowe są kontrolowane i podsłuchiwane przez Amerykanów – zauważył ponuro Aspir. – Jak chcesz to zrobić, cwaniaku?

– Normalnie. – Wilk wzruszył ramionami, jakby zdziwiony ich brakiem inwencji i wiary w jego pomysły. – Trzeba do niego zadzwonić i powiedzieć, gdzie ma być i o której.

– A na miejscu będą na nas czekali Marines i połowa US Army... – jęknął Aspir.

– Jeśli będą w stanie zrozumieć język, którym posługują się Ibrahim i Rover, to rzeczywiście może się tak zdarzyć – przyznał mu rację Wilk, po czym na jego twarzy zalśnił szeroki uśmiech. – Ale jakim cudem oni mogą to zrozumieć, skoro my często nie rozumiemy o czym mówi Rover, a co dopiero Ibrahim?

– To ma sens – zgodził się sierżant Gecco po głębszym namyśle. – I tak musimy odebrać przesyłkę, bo Ibrahim mówił, że nie ma gdzie jej trzymać, a jeśli jej nie odbierzemy, będzie musiał przerwać produkcję. Zresztą, obaj są klasycznymi przygłupami, których trudno zrozumieć, więc jest duża szansa, że nikt tego o czym

będą rozmawiali nie zrozumie. Komu przyjdzie do głowy, że jest to mieszanka języka polskiego, obrazkowego i cholera wie czego? Ważne, że jeden jest wart drugiego i jakimś cudem się dogadują, więc trzeba to wykorzystać. Leć po Rovera – palec wskazujący skierowany w Aspira nie pozostawiał wątpliwości, kto został obdarzony tym zadaniem. – A my musimy mu wytłumaczyć, o co nam chodzi, aby mógł przekazać to Ibrahimowi.

– I ma nie używać słów kluczy, które są wyszukiwane przez komputery nadzorujące sieci telefonii komórkowej w Iraku, a których wypowiedzenie mogłoby zwrócić na naszą rozmowę zainteresowanie służb specjalnych – dodał od siebie Wilk, uśmiechając się w zamyśleniu. – Sądzę, że możemy to przeskoczyć.

Zdjęcie udostępnione przez żołnierzy VI zmian PKW Irak

Projekt okładki: Monika Pollak

Korekta i redakcja: Tomasz Kwiatkowski i przyjaciele

© Copyright by Księgarnia Zdanowicz Kwidzyn 2012

© Copyright by Władysław Zdanowicz

82-500 Kwidzyn ul. Łąkowa 21

E-mail; ksiegarnia.zdanowicz@pro.onet.pl

www.wladyslaw-zdanowicz.pl

e-wydanie I

łamanie, konwersja i korekta techniczna:

Oficina wydawnicza RW2010

Spis treści

Rozdział pierwszy.....	3
Rozdział drugi.....	45
Rozdział trzeci.....	78
Rozdział czwarty.....	113
Rozdział piąty.....	149
Rozdział szósty.....	187
Rozdział siódmy.....	219
Rozdział ósmy.....	254
Rozdział dziewiąty.....	292
Rozdział dziesiąty.....	325
Rozdział jedenasty.....	358
Rozdział dwunasty.....	395
Rozdział trzynasty.....	434
Rozdział czternasty.....	474
Rozdział piętnasty.....	514
Rozdział szesnasty.....	549
Rozdział siedemnasty.....	588
Rozdział osiemnasty.....	626
Rozdział dziewiętnasty.....	660
Rozdział dwudziesty.....	698
Rozdział dwudziesty pierwszy.....	736